

# ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

221 B



## SPRAWA ZŁOWIESZCZYCH BUKIETÓW

MILLIE  
BOBBY  
BROWN  
JAKO ENOLA  
JUŻ WKRÓTCE  
W KINACH

„Enola to wspaniała, wyjątkowa (...) bohaterka.  
Prześnij się, Sherlocku”.

- SCHOOL LIBRARY JOURNAL -

TOM - 3 -



 Poradnia K

**NANCY SPRINGER**

**ENOLA  
HOLMES**

**SPRAWA  
ZŁOWIESZCZYCH  
BUKIETÓW**

PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁĄZKA-SALAMON



**Dla mojej matki**

**N.S.**

## MARZEC 1889 ROKU

Wariaci nie mają za grosz rozsądku – stwierdziła w myślach przełożona personelu pielęgniarskiego – ale co odbiera ludziom zdolności umysłowe, jeśli nie brak zdrowego rozsądku? – Weźmy tego nowego pacjenta: gdyby miał choć trochę pomysłu, skorzystałby z pięknej słonecznej pogody i wyszedłby na plac rekreacyjny wraz z innymi, żeby się trochę rozruszać w pierwszym dniu wiosny. Słuchałby poleceń („Wyprostować się! Głęboki wdech! Patrzymy w górę i podziwiamy piękne niebo! A teraz marsz! Od lewej! RAZ-dwa-trzy-cztery!”) i wyszłoby mu to tylko na zdrowie, ale ten...

– Wypuście mnie! – słyszy to żądanie już chyba setny raz. – Jestem *Anglikiem!* Takie traktowanie brytyjskiego obywatela jest niedopuszczalne! – Chociaż pacjent mówi w gniewie, jedno trzeba mu przyznać: nie przeklina. Nie obrażał przyzwoitości nawet wtedy, gdy szarpał się z dozorcami czy podbił dyrektorowi oko. Teraz też ogranicza się do ognistych protestów: – Wypuście mnie! Żądam tego, jako lojalny poddany jej królewskiej mości. Wypuście mnie z tej sakramenckiej trumny!

– To nie jest trumna, panie Kippersalt – oponuje przełożona nieco znudzonym, lecz łagodnym głosem. Siedzi na niewygodnym drewnianym krześle, którego twardość kompensują jedynie jej obfite kształty, zajęta dzierganiem skarpetki. – Góra i dół mogą wprawdzie kojarzyć się z trumną, ale przecież doskonale pan wie, że trumna nie ma po bokach kratek, które panu umożliwiają oddychanie, a nam pilnowanie, czy nie dzieje się panu żadna krzywda.

– Żadna krzywda?! – Uwięziony w skrzyni mężczyzna wybucha śmiechem. Zaskoczona kobieta gubi oczko, marszczy brew i odkłada na bok robótkę, by sięgnąć po cienki zeszyt i ołówek. – Nie dzieje mi się żadna krzywda w tym diabelskim wynalazku? – Więzień z trudem wypowiada te słowa między kolejnymi spazmami dyszkantowego śmiechu.

– Nie wydaje mi się, by był pan fizycznie niedysponowany – odpowiada przełożona łagodnie, acz z godnością. – Poza tym leży pan na czystej palecie, może pan zmieniać pozycję i poruszać rękami. Łóżeczko jest o wiele przyjemniejsze niż kaftan bezpieczeństwa.

– Łóżeczko? Więc tak to nazywacie?! – Pacjent wciąż zanosi się śmiechem bez najmniejszego powodu.

Przełożona zerka na niego z ukosa. Doskonale zdaje sobie sprawę, że z tym człowiekiem nie ma żartów. Okazał się nader zwinny jak na swoją tuszę i do tego obdarzony wyjątkowym sprytem. Niewiele brakowało, a dobiegłby do ogrodzenia.

W nowym, niemal dziewiczym dzienniku pacjenta Kippersalta pojawia się nowy wpis: data i godzina, a pod nimi słowa: *Pacjent dostał ataku śmiechu, to oczywisty przejaw hysterii. Z poprzednich uwag wynika, że pan Kippersalt opierał się z całych sił podczas przebierania go w szary wełniany uniform i protestował, kiedy odebrano mu rzeczy osobiste, by umieścić je w bezpiecznej przechowalni. Odmówił przyjmowania pokarmów. Mocz jest jasny i przejrzysty. Praca jelit przebiega prawidłowo. Sprawia wrażenie schludnego. Nie stwierdza się u niego deformacji czaszki, tułowia i kończyn. I używa chustki do nosa.*

– Łóżeczko, które ma mnie pozbawić przynależnej dorosłym wolności? – Denerwujący śmiech zaczyna przycichać. Pacjent nawet nieźle się trzyma jak na osobę w średnim wieku. Ma w sobie coś z żołnierza. Teraz gładzi palcami wąsy, jakby chciał powściągnąć irytację albo coś przemyśleć. – Kiedy mnie stąd wypuścicie?

– Po przebadaniu przez lekarza. – I rzecz jasna po podaniu wodzianu chlorału, dopowiada w myślach przełożona. Zakładowy medyk, będąc uzależniony od laudanum i podobnych substancji, ogranicza swój kontakt z pacjentami do podawania im silnie działających środków.

– Lekarza? Ależ to ja jestem lekarzem! – I nowo przyjęty wariat ponownie zanosi się śmiechem.

Przełożona zapisuje: *Upiera się przy swoich urojeniach będących przejawem manii wielkości.* Odkłada zeszyt i ponownie sięga po druty. Wyrabianie pięty w skarpecie wymaga skupienia, ale kiedy jest się żoną dyrektora szpitala dla obłąkanych, trzeba się pogodzić z robieniem siedmiu rzeczy naraz i brakiem czasu, by odsapnąć, pójść na spacer czy przejrzeć gazetę. Cóż, kierowanie personelem

pielęgniarskim wymaga równie dużo zachodu jak nadzór nad chorymi. Nie dotarł tu jeszcze etos pracy Florence Nightingale: opiekunowie chorych są w najlepszym razie analfabetami, większość jednak tkwi w szponach jakiegoś nałogu i zazwyczaj pije.

Przełożona wzdycha. Usiłuje znaleźć zgubione oczko, i choć w jej głosie pobrzmiwa tłumiony strach, odpowiada pacjentowi:

– Lekarzem? To nieprawda, panie Kippersalt. Z dokumentów przyjęcia wyraźnie wynika, że prowadzi pan sklep.

– Nie nazywam się Kippersalt! Nie jestem osobą, za którą mnie tu wszyscy biorą! Dlaczego nikt w tym piekielnym miejscu nie potrafi pojąć, że trafiłem tu wskutek jakiegoś absurdalnego *qui pro quo*<sup>[1]</sup>?

Czując na sobie wzrok zamkniętego w trumnopodobnym pudle mężczyzny, przełożona uśmiecha się z pełnym rutyny pobłażaniem.

– Doświadczenie zdobyte podczas trzydziestu lat pracy nauczyło mnie jednego: pacjenci nader często twierdzą, iż doszło do pomyłki, jednak nigdy nie jest to zgodne z prawdą. – Jakżeby inaczej, skoro skierowanie do zakładu zamkniętego wiązało się z niebagatelnymi kwotami przechodzącymi z ręki do ręki. – Było tu wielu takich jak pan dżentelmenów. Niejeden z nich upierał się, że jest Napoleonem, to najczęstsza fiksacja. Ale zdarzyli się nam także książę Albert i sir William Drake, a nawet William Szekspir.

– Ależ ja mówię prawdę!

– ...niektóre zbłąkane dusze wracają tu do zdrowia – ciągnie przełożona, puszczając protesty mimo uszu. – Część z nich wciąż tu przebywa. Ale chyba nie chciałby pan tego, prawda, panie Kippersalt? Nie chciałby pan dokończyć tu żywota.

– Nie noszę nazwiska Kippersalt! Nazywam się Watson! – Nawet przez kratę widać, jak nastroszyły mu się wąsy.

Przełożona kwituje to dobrodusznym żarcikiem:

– Na jednym z oddziałów mamy teraz samego Sherlocka Holmesa. Ciekawe, czy zechce za pana poręczyć.

– Pani chyba oszalała! Tłumaczę pani, że *jestem* Johnem Watsonem, lekarzem i literatem! Wystarczy zatelefonować do Scotland Yardu...

Zatelefonować? Jakby ktoś w oddalonej od City północnej części miasta miał kiedykolwiek styczność z tym nowomodnym wynalazkiem. „Wystarczy zatelefonować do Scotland Yardu”? Kolejny dowód, że to przypadek manii wielkości.

– ...i poprosić o rozmowę z inspektorem Lestrade’em. Potwierdzi moją tożsamość.

– Nonsens – mruczy pod nosem przełożona. – Nonsens. – Doprawdy, czy ten biedak naprawdę się łudzi, że dyrektor przeprowadzi dochodzenie, zwróci pokaźną zapłatę i wypuści go na wolność? – Już dobrze, cichutko. Cii... – ścisza głos, jak piastunka uspokajająca marudne dziecko. Zaczyna się obawiać, czy nasilające się pobudzenie nerwowe nie doprowadzi pacjenta do gorączki mózgowej. Wszak mija już drugi dzień, a pan Kippersalt jak bredził, tak bredzi.

Doprawdy, przykra sprawa. Przełożona miała do czynienia z pokaźną rzeszą obłąkanych, jednak ten osobnik wzbudza w niej szczególne współczucie. Zdaje się, że byłby przezacnym człowiekiem, gdyby tylko nie szwankował mu umysł.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niełatwo wybrać sobie nowe imię i nazwisko. Chyba nawet trudniej niż wybrać imię dla dziecka, ponieważ z wiekiem człowiek wchodzi w szczególną komitywę z własnym ja, a przychodzące na świat niemowlę jest jedną wielką niewiadomą. Z pewnością jakiś artystyczny kaprys kazał mamie wybrać dla mnie imię Enola, czyli *a l o n e* pisane wspak.

*Nie myśl o mamie.*

Mimo że potężny siniec na mojej twarzy już prawie zniknął, cios zadany moim uczuciom pozostawił głęboką i bolesną ranę. Dlatego też owego pierwszego ciepłego i słonecznego dnia marca tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku uznałam, że wolę pozostać w zaciszu wynajmowanego pokoiku. Uzbrojona w papier i ołówek zasiadłam przy otwartym oknie (jak miło odetchnąć świeżym powietrzem – nawet w jego londyńskim wydaniu – po długiej zimie!), przyglądając się tętniącej życiem uliczce East Endu. Moją uwagę od razu przykuła rozgrywająca się na dole scena: właśnie przepędzano tamtędy spore stado baranów, więc wszelkiego rodzaju pojazdy – wozy z węglem, wózki zaprzężone w osiołki czy kramiki na kółkach pchane przez obwoźnych sprzedawców – utworzyły zator. Do moich uszu dobiegały wyjątkowo plugawe przekleństwa, którymi przerzucali się wściekli woźnicy. Ubrani w czerwień rekruterzy z wojska i liczni próżniacy przyglądali się temu z drwiącym uśmieszkiem; ślepy żebrak i prowadzący go chłopaczek w łachmanach próbowali przebić się przez tłum; nieletni ulicznicy wspinali się na latarnie, żeby się gapić i szydzić, a kobiety okutane w brudne szale spieszyły się do swoich obowiązków. One – przepracowane ponad siły mieszkanki slumsów – w przeciwieństwie do mnie miały dokąd pójść.

Spojrzałam na trzymany na kolanach arkusz, na którym bezwiednie napisałam:

*Enola Holmes*

Zamaszystym ruchem przekreśliłam swoje prawdziwe personalia. Tym imieniem i nazwiskiem absolutnie nie wolno mi się było posługiwać. Mycroft i Sherlock mogliby trafić na mój ślad i ponownie wziąć mnie pod kuratelę, by poprzez lekcje śpiewu i inne podobne sztuczki zrobić z niepokornej siostry wzorcową ozdobę towarzystwa z wyższych sfer. I mieli do tego pełne prawo. Mogli mnie przymusowo umieścić na pensji dla panien. Albo w klasztorze. Ewentualnie w sierocińcu. Zapisać do Akademii Zdobienia Porcelany dla Młodych Dam. Mogliby zrobić ze mną wszystko. Zgodnie z obowiązującym prawem Mycroft, starszy z braci, byłby władny zamknąć mnie do końca życia w szpitalu dla obłąkanych. Wymagało to jedynie podpisów dwóch doktorów medycyny (w tym lekarza „od czubków”, który dbał o regularne wpłaty na rzecz swojego zakładu). Dwa podpisy plus autograf samego Mycrofta, gotowego posunąć się do każdej intrygi, byle tylko pozbawić mnie wolności, której nie chciałam się wyrzec.

Napisałam:

*Ivy Meshle*

Imię i nazwisko, którymi posługiwałam się przez pół roku swego niezależnego bytowania po ucieczce z domu. „Ivy”, czyli bluszcz, symbol wierności, oraz „Meshle” – gra sylabami nazwiska „Holmes”: *Hol mes, mes Hol, Meshle*. Bardzo mi się ta tożsamość podobała i żał mi było z niej zrezygnować, jednak czułam się z nią niezbyt pewnie, odkąd Sherlock odgadł, że posługuję się kryptonimem Ivy w szyfrowanej korespondencji z mamą, na łamach działów ogłoszeń drobnych codziennej prasy.

Co jeszcze wiedział mój arcymądry brat Sherlock – który w przeciwieństwie do korpulentnego i zasiedziałego Mycrofta próbował mnie chociaż odszukać – co jeszcze Sherlock wiedział na mój temat? Co odkrył podczas naszych jakże osobliwych spotkań?

Napisałam:

*Wie, że jestem do niego podobna fizycznie.*

*Wie, że wspinam się na drzewa.*

*Wie, że jeżdżę na rowerze.*

*Wie, że udawałam wdowę.*

*Wie, że podszywałam się pod nędzarkę sprzedającą czyściki do stalówek.*

*Wie, że udawałam zakonnice.*

*Wie, że rozdawałam biedakom żywność i koce.*

*Wie, że noszę w gorsecie sztylet.*

*Wie, że naprowadziłam policję na trop dwóch przestępców.*

*Wie, że dwukrotnie wdarłam się do jego domu przy Baker Street.*

*Wie, że używam imienia Ivy.*

Należy założyć, że doktor Watson poinformował go, iż niejaka Ivy Meshle pracuje dla pierwszego na świecie naukowca perdytorysty.

Westchnęłam, pisząc to ostatnie zdanie. Podziwiałam poczciwego doktora Watsona, mimo że spotkałam go zaledwie trzykrotnie. Po raz pierwszy, kiedy postanowił zasięgnąć rady perdytorysty – zawodowego poszukiwacza zaginionych osób – w sprawie swego przyjaciela Sherlocka Holmesa. Po raz drugi – kiedy wybrałam się do niego po poradę, a on mi zaaplikował brom na ból głowy. Po raz trzeci i ostatni – kiedy powierzyłam jego opiece ranną lady. Doktor Watson był uosobieniem szarmanckiego i solidnego angielskiego dżentelmena gotowego spieszyć z pomocą bliźnim w każdej potrzebie. Darzyłam go wielką sympatią, niemal równie wielką jak brata, bo mimo wszystko uwielbiałam Sherlocka, choć znałam go tylko z cieszących się ogromnym wzięciem relacji spisywanych i publikowanych przez doktora Watsona, które czytałam z wypiekami na policzkach.

Dlaczego, ach, dlaczego ci, na których mi najbardziej zależało, zawsze chcą dowieść, że się do niczego nie nadaję?

Z westchnieniem zacisnęłam wargi i przekreśliłam *Ivy Meshle* paroma grubymi pociągnięciami ołówka.

No to w takim razie jak?

Moja konsternacja wynikała nie tyle z konieczności wyboru imienia i nazwiska, ile z szerzej pojętej kwestii wyboru kolejnego wcielenia. Jaki typ kobiety wziąć sobie za wzór? Prostą dziewczynę, Mary albo Susan? Brzmi nijako. Jednak imiona kwiatowe, które uwielbiałam, takie jak Rosemary (rozmaryn to symbol wspomnień) czy Violet (fiołek symbolizuje ukryte piękno i cnotę) nie wchodziły w rachubę, ponieważ Sherlock wiedział, że porozumiewam się z mamą kwiatowym szyfrem.

Nie mogłam też wykorzystać pozostałych imion, które otrzymałam na chrzcie, a zgodnie ze szlacheckim obyczajem mam ich kilka: Enola Eudoria Hadassah Holmes. Enola E.H. Holmes – E.E.H.H. Eehh. Tak się właśnie czułam. Imię Hadassah nosiła nieżyjąca już siostra mojego ojca, Sherlock natychmiast by je ze mną skojarzył. Z Eudorią było jeszcze gorzej, ponieważ imię to nadano mi po matce.

Zresztą nie chciałam się w żaden sposób wzorować na mamie.

A może jednak?

– A niech to. Do diaska – mruczałam gniewnie, pisząc:

*Violet Vernet*

Vernet to nazwisko panięńskie matki, więc Sherlock bez wątpienia by je rozpoznał. A gdyby je zapisać wspak:

*Tenrev.*

Zupełnie nie brzmi. A gdybym pobawiła się nieco literami?

*Netver*

*Never*

*Every*

*Ever*

*Ever. Zawsze. Ale co?*

*Zawsze sama?*

*Zawsze porzucona?*

– *Zawsze wierna sobie* – stwierdziłam surowo. – *Zawsze będąca tym, kim teraz jestem.* Buntowniczką, marzycielką. Oraz perdytorystką, poszukiwaczką zaginionych. Przyszło mi nagle na

myśl, że dobrym rozwiązaniem dla osoby zainteresowanej poznawaniem wiadomości, które nie trafiały do druku, byłoby zatrudnienie się w redakcji przy Fleet Street...

Traf chciał, że w tej samej chwili na schodach rozległo się żółtiowate człapanie mojej gospodyni.

– Gazety, panno Meshle! – zawołała, zanim jeszcze dotarła do półpiętra. Głucha jak pień pani Tupper uznawała za stosowne robić wokół siebie jak najwięcej hałasu.

Wstałam, przeszłam przez pokój i wrzuciłam wszystkie swoje zapiski do ognia. Po chwili gospodyni załomotała do drzwi z siłą, z jaką zwykli ludzie łupią orzechy.

– Dziękuję, pani Tupper. – Oczywiście nie mogła mnie usłyszeć i tylko z ruchu moich, mam nadzieję, uśmiechniętych warg odczytała, co powiedziałam, odbierając od niej prasę.

Pani Tupper nie zamierzała jednak się oddalić. Wyprostowawszy przygarbione plecy na tyle, na ile było to możliwe, wbiła we mnie spojrzenie wodnistych oczu.

– Panno Meshle – oznajmiła z heroizmem osoby, która postanawia wypełnić święty moralny obowiązek – nie godzi się tak zamykać na cztery spusty. Cokolwiek się wydarzyło... chociaż nic mi do tego... cokolwiek się stało, to jeszcze nie powód, żeby się wpędzać w chorobliwą bladość. A tak się składa, że mamy dziś dzionek jak marzenie. Pokazało się słoneczko i wreszcie czuć w powietrzu wiosnę. Niechże panna naciągnie na głowę czepek i wyjdzie w końcu na spacer...

Wydaje mi się, że mniej więcej coś w tym stylu powiedziała. Nie wsłuchiwałam się w jej słowa i z lekkim wstydem stwierdzam, że zamknęłam jej drzwi przed nosem. Całą moją uwagę przykuł bowiem nagłówek z pierwszej strony „Daily Telegraph”.

A brzmiał on tak:

WSPÓŁPRACOWNIK SHERLOCKA HOLMESA  
ZNIKNĄŁ W TAJEMNICZYCH OKOLICZNOŚCIACH  
MIEJSCE POBYTU DOKTORA WATSONA POZOSTAJE NIEZNANE



## ROZDZIAŁ DRUGI

Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby usiąść. Stojąc tam, gdzie stałam, narażając się na to, że spódnica mojej domowej sukienki z taniego kretoniku zajmie się ogniem, czytałam, co następuje:

Zdarzenie, które z całą pewnością przyprawi co wrażliwsze osoby o dreszcz przerażenia, miało miejsce w Bloomsbury, jednak jego skutki odczuje cały Londyn, jeśli zaginiony brytyjski dżentelmen rychło się nie odnajdzie. Doktor John Watson, szanowany lekarz, znany szerszemu ogółowi jako współpracownik i kronikarz przygód sławnego detektywa, pana Sherlocka Holmesa, zniknął bez śladu, i to w nader tajemniczych okolicznościach. W kręgu rodziny i przyjaciół zaginionego wyrażana jest obawa, że ów zacny dżentelmen mógł wpaść w ręce kryminalisty będącego wrogiem pana Sherlocka Holmesa. Może ktoś chce się nim posłużyć jako kartą przetargową w jakiejś nikczemnej intrydze, przetrzymuje jako zakładnika w celu wymiany na inną osobę lub zażądania okupu. Pojawiły się też głosy, że noszona przez doktora czarna lekarska torba mogła sprowokować przeciwną szczepieniom tłuszczy z East Endu do napaści. W tej chwili nie da się wykluczyć żadnego z ponurych scenariuszy. Podjęto próby odtworzenia poczynań doktora Watsona od chwili, gdy w minioną środę rano udał się do miasta w celu złożenia zaplanowanych wizyt domowych i załatwienia innych spraw, jednak wieczorem nie pojawił się ani w domu, ani w gabinecie. Przesłuchiwanie są dorożkarze...

I tak dalej, i dalej. Mnóstwo słów pozbawionych głębszej treści. Opisywane zniknięcie nie byłoby warte wzmianki w prasie, gdyby nie to, że w nagłówku można było zamieścić nazwisko mojego brata. Doktor Watson ucałował żonę na do widzenia w środę rano, teraz mieliśmy piątkowe popołudnie, czyli zacny medyk przepadł bez wieści całe dwa dni temu. Wyobrażałam sobie, jak policjanci – skądinąd nie bez pewnej dozy słuszności – tłumaczą uspokajająco, że przedłużona nieobecność lekarza może wynikać z całkiem niegroźnych przyczyn i że lada chwila pojawi się telegram albo list z wyjaśnieniami, gdzie przebywa i co go zatrzymało. Sformułowanie „podjęto próby” oznaczało, że nie wszczęto jeszcze dochodzenia, w przeciwnym razie gazeta podałaby nazwisko odpowiedzialnego za śledztwo inspektora. Nie, na tym etapie jedynie dwie osoby starały się ustalić miejsce pobytu doktora Watsona: jego żona oraz jego przyjaciel, a mój brat, Sherlock Holmes.

Teraz włączę się w to również ja.

Hola, hola. A jeśli zniknięcie Watsona to podstęp wymyślony przez braciszka, żeby mnie złowić w sidła? Sherlock wiedział, że zaangażowałam się już w dwie sprawy dotyczące zaginionych osób. I choć być może nie domyślał się, że doktor Leslie Ragostin, naukowiec perdytorysta, jest wytworem mojej fantazji, to prawdopodobnie zdołał już ustalić, że dla niego pracowałam. Czyżby zrozumiał, że szukanie tych, którzy przepadli bez wieści, jest moim życiowym powołaniem?

Czy się domyślał, jak bardzo polubiłam dobrotliwego po ojcowsku doktora Watsona?

Czy w takim razie nie powinnam potraktować ostatnich doniesień prasy z najwyższą podejrzliwością?

Umysł podsuwał mi owe nad wyraz rozsądne przemyślenia, gdy tymczasem zdążyłam już cisnąć gazetę w ogień i zaczęłam grzebać w szafie, obmyślając warianty przebrania, strategie pozyskania szczegółów zniknięcia doktora Watsona, najlepsze podejście do sprawy. Doprawdy, nawet kaftan bezpieczeństwa nie powstrzymałby mnie przed działaniem.

Chociaż wiedziałam, że muszę być wyjątkowo czujna.

Co nastęrczało pewnych trudności. Spędziwszy większość ostatniego miesiąca w czterech ścianach mojej izdebki, gdzie oddawałam się pełnym gorczy rozmyśleniom o zawodzie, jaki sprawiła mi matka, nie spiesząc mi z pomocą w pilnej potrzebie – innymi słowy pogrążałam się w nieróbstwie i roztkliwianiu nad sobą – straciłam gotowość do jakichkolwiek przedsięwzięć. Potrzebowałam tuzina najrozmaitszych rzeczy, których nie posiadałam.

Okrywszy głowę i ramiona szalem o nieokreślonej barwie, wyszłam ze swojej kryjówki, żeby uzupełnić braki. Pani Tupper byłaby zadowolona: wreszcie udałam się na przechadzkę.

I rzeczywiście, szłam piechotą, ponieważ targały mną uczucia równie splecione jak labirynt zaułków dzielnicy nędzy, a w głowie kłębiły się myśli stłoczone jak mieszkańcy mijanych przeze mnie

zapyziałych budynków, których strome poddasza górowały nade mną. Długi spacer zapewniał czas potrzebny na doprowadzenie się do jako takiego ładu umysłowego.

Okoliczności jednak nie sprzyjały wyciszeniu. Sprzedawca pasztecików krzyczał: „Gorące z mięsem, dwa za pensiała!”, a wokół niego podrygiwała banda uliczników, wrzeszcząc: „Szczeniaki i kociaki! Kot bury i szczury!”, co zapewne było aluzją do składu nadzienia oferowanych wypieków. Po chwili zjawił się konstabl i marszcząc gniewnie brwi, zgromił łobuziaków za blokowanie przejścia. Dzionek był w istocie jak marzenie, zgodnie z określeniem pani Tupper, jednak cieplejsze powietrze przyczyniło się także do wzmożenia smrodu dolatującego z wychodków – a każdy z nich obsługiwał około dwustu przedstawicieli londyńskich „niedomytych hord” – odoru bijącego z pobliskiej Tamizy oraz wyziewów z gazowni wznoszącej się nad slumsami niczym rozdęta, lśniąca stonoga na stalowych odnóżach, zatruwająca wszystko poniżej.

No trudno, widać nie potrafiłam się cieszyć urodą wiosennego dnia, mimo że słońce jest w Londynie arcyzradkim zjawiskiem. Niezależnie od pogody panującej w kraju miasto zazwyczaj spowijają kłęby brudnej mgły. Powiew wiosny przyczynił się też do natężenia zgiełku i zwiększenia zagrożeń na ulicach. Dostrzegłam pielęgniarkę ze szpitala okręgowego w staroświeckim czarnym czepcu i długim płaszczu narzuconym na biały fartuch, lawirującą między sznurami z bielizną suszącą się w ciasnych podwórkach. W ślad za nią niosły się szpetne wyzwiska rzucone przez zbijających bąki mężczyzn, ulicznych łobuzów i niektóre z kobiet, wzmacniane ciskaniem przez całe towarzystwo błotem, kamieniami, a nawet odchodami.

*Dzielną kobietą*, pomyślałam i nie przerywając wędrówki, zaczęłam rozważać wszelkie za i przeciw przebrania się za pielęgniarkę. A może lepiej sprawić sobie czarną spódnicę i czerwony kubrak o wojskowym kroju na wzór Dzieweczek Alleluja generała Bootha<sup>[2]</sup>? Miałam wrażenie, że widok munduru skłania osobę postronnie do skupienia się na ubiorze, a nie na noszącej go jednostce.

Lecz Sherlock Holmes to nie przypadkowy obserwator. Zapewne pamiętał, że udawałam zakonnice, wypatrywałby więc kogoś podobnego: diakonisy, niańki, pielęgniarki. Nie, musiałam wymyślić przebranie, którego nigdy by ze mną nie skojarzył.

Na szczęście East End zostawiłam za sobą. Zamiast przeciskać się między ruderami, szłam chodnikami wzdłuż szerokich brukowanych ulic. W oddali widziałam już górującą nad otoczeniem kopułę katedry świętego Pawła, potężnej budowli z neogrecką kolumnadą, oraz konkurującą z nim równie wysoką, połyskującą stalowymi elementami gazownię. Mijałam obwieszane gargulcami gotyckie kościoły. Willę we włoskim stylu zdobną w liczne gzymsy i kanciaste wieże. Niestety większość Londynu stanowi jeden wielki miszmasz: tu kolej, tam fabryka, a między nimi budynki w stylu Drugiego Cesarstwa Francuskiego, architektura mauretańska, georgiańska, zabudowa z okresu regencji, gmachy neotudoriańskie, neoklasycystyczne, neotakie i neoowakie.

Miasto, które podobnie jak ja nie może się zdecydować, jakie oblicze chce pokazać światu.

Różnorodność typów ludzkich była tu jeszcze większa niż na East Endzie. Eleganckie damy robiące sprawunki w sklepach pasmanteryjnych, w pracowniach modystek i w składach pachnideł, krążące między nimi w pośpiechu, by nie wzięto ich za przedstawicielki innego sortu wystrojonych „dam” spacerujących po chodnikach. Panny sklepowe, zwinne jak kozice, wdrapujące się na górne piętro omnibusów. Przybysze z prowincji z ciekawością przyglądający się wszystkiemu: gońcom na rowerach, sprzedawcom pudeł modniarskich dźwigającym swój towar na przerzuconych przez ramiona kijach, kominiarzom o twarzach czarnych jak ich narzędzia pracy, objuczonym książkami uczniom o powalanych atramentem palcach, muzykom ulicznym, dżentelmenom odzianym od stóp do głów w dostojne szarości i czernie, a także „paniskom” innego autoramentu, elegancikom poszukującym rozrywki. Moi bracia kiedyś nawet zakładali, że mogłabym się w kogoś takiego wcielić.

No proszę, właśnie minęłam krótko ostrzyżoną kobietę w meloniku, otuloną w dorożkarską pelerynę, spacerującą bez rękawiczek. W jednej ręce trzymała laseczkę, w drugiej smycz, na której prowadziła bulteriera. Jestem pewna, że moi bracia wyobrażali sobie, że upadłam jeszcze niżej – może nawet paliłam cygara.

Przekroczyłam już granicę City, najstarszej części stolicy. Ktoś, kto mógłby przypuszczać, że to

środek miasta, byłby w błędzie. Nie wyznacza go także ani Tower, ani Covent Garden, Piccadilly Circus, Trafalgar Square, pałac Buckingham czy Westminster, siedziba parlamentu. Londyn to chaos i galimatias, coś jak potrawka z baraniej główizny w wykonaniu pani Tupper.

Zwalczwszy pokusę doszukiwania się dalszych analogii między miejskim chaosem a stanem mojego ducha, skierowałam kroki w stronę Holywell Street, wąskiej, krętej, brudnej uliczki, której nazwa zakrawała na ironię, a jej miniona świetność została splugawiona. Malownicze stare kamienice o wysokich szczytach opanowali sprzedawcy poślednich druków i tanich odbitek fotograficznych. Ale nie przyszedłam tu sycić wzroku litografowanymi dziewczętami ukazującymi halki i nóżki w ferworze sznurowania trzewiczków. Szukałam innego sklepu. Za panowania królowej Elżbiety Holywell Street stała się mekką sukienników, a echa tej epoki rozkwitu przetrwały do dziś w postaci składów oferujących amatorom przebieranek kostiumy, dodatki, dziwaczne staroświeckie stroje i tym podobne akcesoria. Widniejące na drewnianych szyldach maski pozdrowiały mnie uśmiechem lub nieprzyjemnym grymasem, kiedy torowałam sobie łokciami drogę wśród gęstego tłumu. Nie dość, że ulica była wiekowa, kręta i wąska, to jeszcze sprzedawcy wątpliwej wartości rycin powystawiali swój towar na chodnik, by wabić przechodniów. Kiedy lawirowałam w tym rozgardiaszu, szarpnęła mnie za rękaw urocza dziewczuszka, mająca nie więcej niż sześć lat, namawiając do kupna czegoś, co na pierwszy rzut oka wzięłam za talię kart. Drugi rzut oka przejął mnie dreszczem i kazał przyspieszyć kroku.

Jest. W końcu dotarłam do wiszącej pod wystającym frontem starodawnego szachulcowego budynku drewnianej rzeźby, równie leciwej jak on sam. Tak, kogut to z pewnością znak firmowy sklepu, którego szukałam.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Powiedziałam się o nim w trakcie przygody, którą powinienam łaskawemu czytelnikowi przypomnieć. Kilka tygodni wcześniej mój brat Sherlock wpadł na mój trop i o mały włos mnie nie złapał. Jednak zanim wezwani przez niego policjanci zdążyli dołączyć do pościgu, udało mi się znaleźć nieprawdopodobną kryjówkę przy Baker Street 221B, będącą prywatnym lokum mojego brata, do którego dostęp ułatwiły mi platan, dach i okno sypialni.

Od tamtej pory dręczy mnie ciekawość, jak zareagował mój brat, kiedy wracając o świcie do swoich pieleszy, odkrył w kominku nadpalony zakonny habit, a w szafie z ubraniami poczynione przeze mnie braki. Wyobrażałam sobie, że niezmiernie go to zafrasowało. I nie wiedzieć czemu, nie było mi do śmiechu.

Gdyby był to Mycroft...

Może innym razem. Do rzeczy, kiedy ukrywałam się przez kilka godzin w mieszkaniu Sherlocka, zajętego tropieniem moich śladów w każdym zaułku, na każdym podwórku i w każdej obórcie w okolicy, wykorzystywałam ten czas, by przejrzeć stan posiadania mojego brata. Odkryłam, że miał komodę wypełnioną perukami, sztucznymi brodami, wąsami i temu podobnymi rzeczami, ale trzymał w niej także przedmioty, o których istnieniu do tej pory nie wiedziałam: kit do modelowania twarzy, samoprzylepne krosty i blizny, koszarne (jak sypiące się średniowieczne blanki nasączone kreozotem) nakładki, pod którymi ukrywał swoje świetnie utrzymane uzębienie, ściśle przylegające mycki imitujące pełną lub częściową łysinę, pomady do malowania twarzy w tonacjach od rumianej do śniadej, różnego typu sztuczne paznokcie (zaniedbane, pożółkniełe, ukruszone, nieobcięte, z gotową „żałobą”), specjalny plaster zmieniający kształt ust do pozorowania zajęczej wargi... Aż otworzyłam oczy ze zdumienia. Szeroko. Gdzie można się zaopatrzyć w tak niezwykle przydatne akcesoria?

Buszując w szufladach jego biurka, natrafiłam na pokwitowania z różnych sklepów, które w większości znajdowały się w dzielnicy teatrów i zaopatrywały pracowników tamtejszych scen. Nie sądzę, bym mogła w przekonujący sposób udawać aktorkę. Ale znalazłam też kilka kwitów ze sklepu przy Holywell Street. O nazwie Pod Chaunticleerem.

Postanowiłam udać się pod ten adres w pierwszej kolejności, chociaż wszystko wskazywało na to, że Sherlock od dłuższego czasu tam się nie zaopatrywał. Może sklep już nie istnieje? Był tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Jeśli sklep przetrwał, to świetna informacja, bo to by oznaczało, że brat z jakichś przyczyn zmienił dostawcę, więc nie ma obaw, że go tam spotkam.

Pod Chaunticleerem... Już wiem, dlatego nad sklepem wisiał kogut. *Chaunticleer* to kogut, tak jak *Reynard* oznaczał lisa. Skąd się wzięło to drugie, nie pamiętam, ale o pierwszym czytałam w *Opowieściach kanterberyjskich* Chaucera.

Przepychając się przez uliczny tłum – Holywell Street *zawsze* była magnesem dla londyńczyków przychodzących się tu gapić na frywolne ryciny na stoiskach i w witrynach – torowałam sobie drogę ku celowi mojej wędrówki.

Ale czy to na pewno był jej cel? Przystanęłam pod drewnianym kogutem – który wisiał tam zapewne od czasów Szekspira – by złapać oddech przed wejściem do środka. Nad otwartymi drzwiami widniał namalowany czerwoną farbą napis. Prosty i tajemniczy: U Perteloty.

Dziwna sprawa.

Weszłam do środka, żeby zorientować się w sytuacji. Przemieszczałam się ostrożnie, rzucając wokół trwożliwe spojrzenia, jednak żaden z moich braci nie wyskoczył z mroku, by mnie pochwycić; przeciwnie, sklep wydawał się pusty. Przy drzwiach piętrzyły się sterty nut, w kącie zalegała kupka starych książek, natomiast w koszach i na ladach dostrzegłam nader ciekawy towar. Przedmioty służące salonowym rozrywkom, domyśliłam się, lustrując je wzrokiem: różnego rodzaju karty (całe szczęście przyzwoitsze niż te, które mi oferowano na ulicy), kostki domina, gry planszowe, jaskrawe patyczki do gry w bierki, dialogi teatralne, stereoptykony z historyjkami obrazkowymi, bardzo zmyślna miniaturowa drukarenka z ruchomymi czcionkami i nasączoną tuszem poduszczką... Kiedy przyglądałam się w zadumie ostatniemu przedmiotowi, z zamyślenia wyrwał mnie kontraltowy głos:

– Czym mogię służyć?

Podniosłam wzrok i ujrzałam przed sobą uśmiechniętą twarz. Przede mną stała kobieta w średnim wieku odziana w prostą spódnicę i bluzkę, roztaczająca wokół swobodną, acz niedającą się pomylić z niczym innym aurę własności. To był *jej* sklep. I dopiero po chwili mój nadwątlony umysł przypomniał mi, że imię Pertelota nosiła u Chaucera pewna bardzo praktycznie myśląca kurka.

Nic dziwnego, że Sherlock Holmes przestał tu przychodzić. Jakimś cudem sklep przeszedł z koguta na kurę, że się tak wyrażę, a – jak powiedziała mi kiedyś żona naszego starego kamerdynera – żaden z moich braci nie potrafiłby znieść obecności przebojowej kobiety.

– Ee... pani Pertelota? – spytałam.

Jej uśmiech zrobił się jeszcze serdeczniejszy i szerszy, jakby ubawiła ją jakaś własna myśl.

– Pertelota – powtórzyła, poprawiając jednocześnie moją wymowę tak kordialnie, że odebrałam to jako komplement za podjętą próbę. Była to grubokoścista kobiecina o twarzy jak półmisek i nie zanadto urodziwej, z siwiejącymi gładko zaczesanymi włosami, zaplecionymi w warkoczyki, zwinięte w dwa ślimaki, osłaniające z obu stron mięsiste i zwisające małżowiny uszne.

– A co się stało z Chaunticleerem? – odpowiedziałam uśmiechem na uśmiech, gotowa uczestniczyć w zabawie.

– Aj, znalazł sobie lepsze zajęcie.

– Ale zostawiła pani zawieszkę z kogutem?

– No cóż, jest bardzo stara, a powinno się dbać o stare rzeczy, nieprawdaż? – Uśmiechała się coraz szerzej, a ja wyczułam, że temat jest zamknięty. – Czym mogię pannie służyć?

Mimo że zmiękczała końcówki, nie miała typowo cockneyowskiego akcentu. Wyrażała się całkiem przyjemnie, jak osoba, która liźnęła nieco nauki. Próbowałam mówić w podobny sposób, pragnąc przedłużyć rozmowę.

– Czy da się na niej zrobić wizytówki? – spytałam, wskazawszy na przerośniętą drukarenkę.

Nie mrugnęła ani się nie zdziwiła, że tak nędznie odziana dziewczyna myśli o wizytówkach, i to na własny użytek. Bez wahania pospieszyła z odpowiedzią:

– Tak, da się, ale nie będą zbyt eleganckie. Mogłabym pannie wydrukować ładniejsze na zapleczu, jeśli panna nie potrzebuje ich dużo.

– Doskonale. – Kiwnęłam głową. – Dziękuję. Czy mogę się rozejrzeć w pani sklepie?

– Oczywiście.

Było tam mnóstwo fascynujących drobiazgów i ciekawostek do zbadania: kwadratowe drewniane układanki, w których nie dało się zdjąć płytek, tylko trzeba było przesuwać je w ramie, „gadające plansze” z numerami i literami do eksperymentów spirytystycznych, róże z aksamitu, pozytywki, wachlarze z piór, jedwabne szale, maski chroniące cerę, doskonałej jakości peruki z długimi włosami prawdopodobnie pozyskanymi od ofiar zarazy albo więźniarek. Wykorzystałam okazję, by zebrać myśli. Chciałam skorzystać z oferty Perteloty, ponieważ przeczuwałam, że wkrótce przyda mi się co najmniej jedna wizytówka. Ale skoro mam zlecić druk, to muszę na gwałt wymyślić sobie nowe alter ego.

Moje rozważania wróciły do momentu, w którym zostały przerwane: *Ever me? Everme? Nie. Ever I? Everi? Jeszcze gorzej. Ever so, Everso? Może zapisane z francuska, Everseau?*

Nieźle.

Może być, przypuszczalnie nie będę się tym nazwiskiem długo posługiwać. Ale co z imieniem? Violet? Nie, kwiatowe imię to zbyt wielkie ryzyko. Viola? To się kojarzy z instrumentem muzycznym, nie z kwiatem. Viola od biedy ujdzie.

Naszła mnie refleksja, że gdyby właścicielka sklepu była pazerna, mogłaby mi sprzedać drukarenkę, zarabiając więcej, niż kosztowałoby mnie skorzystanie z jej propozycji. Dlatego byłam skłonna jej zaufać, mimo że z całą pewnością nie miała na imię Pertelota. Mniejsza o to. Ona też nie pozna mojej prawdziwej tożsamości.

Czy poza zamówieniem wizytówek mogłabym się tu bezpiecznie zaopatrzyć w bardziej nietuzinkowe przedmioty?

Byłam skłonna uznać, że tak.

Ale jeśli popełniam błąd? Jeśli Pertelota należy do osób, które uwielbiają plotkować?

To akurat nie miało znaczenia, ponieważ prawdopodobieństwo, że Mycroft czy Sherlock zechcą z nią rozmawiać, było znikome. Wzdragaliby się przed bliższym kontaktem z kobietą, która jest samowystarczalna, prowadzi własną firmę i zarządza finansami.

Moi bracia nie uznawali i nie rozumieli kobiet niemających u boku mężczyzny, z którymi łączyłyby je więzy małżeństwa lub krwi. Obaj gardzili nimi, traktując je jako istoty niezdolne poddać się rygorom logicznego myślenia. Żaden z nich nie potrafiłby myśleć tak jak kobieta, tym bardziej tak jak ja. Kiedy ich siostra, tyczkowata dziewczyna z długim nosem, uciekła z domu, zakładali początkowo, że będzie się podawać za chłopaka. W głowie im się nie mieściło, że tak beznadziejnie nijaka dziewczyna może sobie poradzić sama.

Teraz, wiedząc już, że najpierw udawałam wdowę, a potem zakonnicę, nastawili się na kolejną wariację na temat „straszydło”: może zawoalowana stara panna o ostrych rysach? Albo „reformatorka” o morderczym spojrzeniu, forsująca przemiany w dzielnicach nędzy? Z pewnością zapomnieli już, że mogłabym podszyć się pod młodzieńca. Czy nadszedł zatem czas, by wskoczyć w spodnie?

Nie.

Po pierwsze wcale mi się to nie uśmiechało. Po drugie – i ważniejsze – uznałam, że chcąc poznać szczegóły zniknięcia doktora Watsona, powinnam się udać do jego drugiej połowy, a żeby to zrobić, muszę być kobietą. Ale nie taką, jaką moi bracia nawet w najśmielszych fantazjach by sobie wyobrażali.

Właśnie. Chociaż wiem, że wprowadzenie tego w czyn będzie wymagało ogromnych nakładów pracy, gdyż przeistoczę się w kogoś, kogo ani Sherlock, ani Mycroft nie potrafiliby we mnie dostrzec.

Stanę się piękną.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Będę piękna.

Przyznaję, że spory wpływ na tę decyzję miały przygnębienie i żal, który czułam do matki. Przekierowałam te uczucia na mężczyzn. Zbyt często widziałam, jak traktują kobiety: te zwyczajne i te piękne. Postanowiłam przeprowadzić szalony eksperyment i dowieść, że nawet tych potężnych panów świata można wyprowadzić w pole.

Decyzja ta miała również walory praktyczne. Jeśli bowiem się okaże, że zmierzam jak po sznurku w zastawione sidła – nie mogłam do końca wyzbyć się podejrzeń, że mój brat pospołu z Watsonem uknuli spisek, by mnie schwytać – muszę się zmienić nie do poznania.

A jeśli nawet istotnie stało się coś złego (byłam coraz bardziej skłonna w to uwierzyć), to pani Watson z pewnością pozostaje w bliskim kontakcie z Sherlockiem Holmesem. Gdyby mu wspomniała o odwiedzinach wysokiej, chudej, niegrzeszącej urodą dziewczyny z wielkim nosem i wystającym podbródkiem, domyśliłby się, kto to taki, i podjął trop niczym posokowiec. Jeśli jednak pani Watson poinformuje go o wizycie kobiety nadzwyczajnej urody, z pewnością się tym faktem nie zainteresuje.

Bycie piękną miało tylko jedną wadę: chciałam, by pani Watson mi zaufała, a przecież kobiety, nawet te, które same są śliczne, często reagują niechęcią na widok atrakcyjnych pań. I choć nie znałam żony doktora Watsona osobiście, wiedziałam, że jest to osoba o dość przeciętnej powierzchowności. W swoim znakomitym dziele *Znak czterech* doktor Watson wspominał o pierwszym spotkaniu z Mary Morstan (tak się bowiem wówczas nazywała), która przyszła poradzić się w pewnej sprawie do Sherlocka Holmesa. Opisał swoją przyszłą żonę jako osobę nieobdarzoną „ani regularnością rysów, ani piękną cery”, jednak od razu dodał, że „była urocza i przemiła, a jej wielkie błękitne oczy były nad wyraz uduchowione i pełne życzliwości”.

Być może, mając pogodne usposobienie, wcale mnie nie znienawidzi?

Z kart *Znaku czterech* dowiedziałam się także, że pani Watson „nie miała w Anglii żadnych krewnych” – i dlatego, będąc w tarapatkach, zwróciła się do Holmesa. Oboje jej rodzice nie żyli. Po ukończeniu pensji pracowała jako guwernantka – osoba niebędąca już służącą, ale jeszcze nie traktowana na równi z chlebodawcami – większość pań wykonujących ten zawód spożywała posiłki w samotności. Teraz też zapewne czuła się osamotniona, ponieważ poślubiwszy lekarza, znalazła się w połowie drogi między klasą pracującą a wyższymi sferami. Skoro przed ślubem „wiodła życie na uboczu”, pozbawiona kręgu znajomych, to czy obecnie mogła się takowego kręgu dorobić? Uznałam, że nie. Ubodzy, znalazłszy się w tarapatkach, biegli po pomoc do Mary, jak pisał Watson (niewątpliwie dobroć serca cechowała ich oboje), czy jednak kiedy sama znalazła się w kryzysowej sytuacji, ubodzy, którym pomogła, przybiegną ze słowami otuchy? Wątpię.

Niektórzy ludzie pragną być w trudnych chwilach pozostawieni sami sobie, inni tęsknią za towarzystwem. Nie znałam prawdy, musiałam zatem zaryzykować i założyć, iż pani Watson zaliczała się do drugiej kategorii i z ulgą powita odwiedzin – choćby nawet nieznaney sobie osoby – w tak trudnych dla niej chwilach.

Miałam taką nadzieję. Więcej, liczyłam na to, że zdradzi mi coś, nawet najbanalniejszy szczegół, który przybliży mnie choć trochę do rozwiązania zagadki zaginięcia jej męża.

Następnego popołudnia przed budynkiem mieszczącym domostwo i gabinet doktora Watsona zatrzymała się dorożka, z której wysiadła czarująca istotka. Czarująca za sprawą niewinnego, skromnego, ponadczasowego piękna, tak dalece pozbawionego sztuczności, że zdawała się płynąć w górę po wyszorowanych do czysta białych schodach jak powiew świeżego leśnego powietrza...

„Pozbawionego sztuczności”? Ha. Akurat. Wcielenie się w pannę Violę Everseau wymagało z mojej strony wielogodzinnych wysiłków, i gdyby nie płynąca w moich żyłach artystyczna krew, nie udałooby mi się stworzyć pozorów tak doskonałej naturalności. „Wrodzone” piękno to złudzenie, kwestia odpowiednio dobranych proporcji, które sprawiają, iż zmysły patrzącego jednogłośnie skłaniają się ku zachwytowi.

Pamiętam, jak sam Sherlock wpadł w pułapkę podobnego rozumowania. „Mycrofcie –

powiedział do drugiego z moich braci – zauważ, dziewczyna ma nieproporcjonalnie małą głowę w stosunku do swojego nad wyraz wybujałego wzrostu”. Tym samym negatywnie ocenił moją inteligencję, wysnuwając mylne wnioski z obserwacji, choć jego spostrzeżenie *à propos* mojej sylwetki było zgodne z prawdą.

Dlatego też zaopatrzyłam się w sklepie pani Perteloty w perukę o wyjątkowo dużych gabarytach.

„Odpowiednio dobrane proporcje” w dziedzinie estetyki damskiej urody to przede wszystkim ułożenie fryzury. A moje włosy, choćby nawet nie miały barwy błota i konsystencji moczarów, porastały górną część głowy, uniemożliwiając mi ocenę ich wyglądu czy jakiegokolwiek zabiegi fryzjerskie. Ale peruka! To coś zupełnie innego. Wystarczyło nasadzić ją na wysoki ciężki lichtarz i ułożyć lśniące pasma o barwie drewna różanego dokładnie tak, jak chciałam. Beztrąsko upięte w koczek pukle i obfita grzywka w przedniej części.

Bez peruki – i bez gumowych wkładek zapewniających moim policzkom i nozdrzom pełniejsze kształty – byłam jedynie dziewczyną o ostrych rysach, haczykowatym nosie i ziemistej cerze, czyli damską wersją mojego brata Sherlocka. Ale urocze i przekonująco naturalnie wyglądające włosy sprawiły, że mój wydatny nos i wystająca broda nagle nabrały szlachetności greckiego profilu. Cera okolona puklami i kędziorkami o rdzawym połysku straciła chorobliwą błądź i nabrała cech alabastru. Sama nie mogłam uwierzyć w to, jak bardzo się przeistoczyłam.

Oczywiście całość wymagała jeszcze sporych wysiłków. Naturalne piękno należy podkreślić jakąś skazą, uroczym zaburzeniem symetrii. Przykleiłam zatem na prawej skroni maleńkie wypukłe znamię w kolorze porto (kolejny nabytek ze sklepu pani Perteloty), by skutecznie odciągała wzrok patrzących od krogulczego nocha. Następnie naniiosłam na skórę cieniutką warstewkę pudru ryżowego, jakbym chciała tę niewielką skazę ukryć. Puder ryżowy był jednym z niewielu środków upiększających, których wolno było używać damom. W odróżnieniu od specyfiku, zastosowanego przeze mnie w następnej kolejności, czyli różu. Zadałam o to, żeby zaledwie musnąć kości policzkowe i wargi tą okrytą hańbą substancją. Następnie w ruch poszły barwione „hiszpańskie płatki”, którymi potarłam powieki, dzięki czemu oczy wyglądały na większe i pełne blasku. Stosując metodę prób i błędów, udało mi się osiągnąć naturalny efekt. Jak już wspominałam, bycie piękną wymaga długich godzin wyteżonej pracy.

Ale to wszystko nie dawało mi gwarancji, że pani Watson zechce mnie przyjąć. Mogło się przecież okazać, że – zważywszy na okoliczności – skołatane nerwy kazały jej położyć się do łóżka, uniemożliwiając przyjmowanie nawet pożądanых wizyt.

A niech to dunder świśnie! Co będzie, jeśli po tyłu zachodach przyjdzie mi pocałować klamkę?

Spróbować jednak nie zawadzi. W końcu byłam do tego przygotowana. Rzuciłam ostatnie spojrzenie w lustro. Przyznam, że przeniknęło mnie głębokie poczucie triumfu.

Nieszczęsnym trafem, kiedy opuszczałam swój pokój, na schodach pojawiła się pani Tupper. Upuściła z wrażenia porcelanowy dzbanek, który rozbił się w drobny mak.

Po tak hucznym pożegnaniu zajechałam pod wskazany dorożkarzowi adres i wionęłam w górę schodów niczym leśny wiaterek, głównie za sprawą nabytej poprzedniego dnia wody toaletowej „Rajski Zagajnik”. Do tej pory nie zaprzętałam sobie głowy perfumami – chociaż rynoszki śmierdziały okrutnie, nie chodziłam po ulicach, zasłaniając nos wonną chusteczką – ale, powtórzę raz jeszcze, wrażenie piękna kryje się nie tylko w oczach patrzącego, ale także w przemyślanym oddziaływaniu na każdy ze zmysłów, dlatego użyłam pachnidła. I łyknęłam trochę miodu, żeby złagodzić ton głosu. Sznurując gorset, starałam się nie dopuścić, by poukrywane w uzdatniaczu biustu przedmioty uwidoczniły się w postaci nieestetycznych zgrubień. Wybór sukni również wymagał wielkiej uwagi: nie chciałam wyglądać ani zbyt skromnie, ani zbyt arystokratycznie. Wszystkie „pozbawione sztuczności” elementy mojego przebrania, od zawiązanego szarfą pod brodą płaskiego kapelusika ozdobionego paroma drobnymi kwiatkami po wyglancowane zapinane na guziczki botki, zestawiałam ze sobą po długich przemyśleniach i licznych przymiarkach. Zarwałam pół nocy, żeby się przygotować do tej eskapady. Żywiłam cichą nadzieję, że niewyspanie przyda mojemu wzrokowi rzewnej głębi.



W chwili, gdy znalazłam się u celu, dopadły mnie wątpliwości. A jeśli zrobiłam z siebie pośmiewisko? Co będzie, gdy wszyscy się zorientują, że jestem wroną udającą pawia?

Naturalnie, akurat w tej samej feralnej chwili musiały się otworzyć drzwi frontowe. Całe szczęście, że trzymałam w ręku zgrabny bukiet z przebiśniegów i jaśminu (nadzieja i współczucie) przewiązany żółtą wstążką, zdradzający cel moich odwiedzin, więc wszelkie wyjaśnienia były zbędne. Oby tylko pokojówka nie zauważyła drżenia obciążonej rękawiczką dłoni, składającej jej na srebrnej tacce bilecik z napisem: *Panna Viola Everseau*.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Służąca zaprowadziła mnie do nader skromnego saloniku, a potem popędziła na tył domu, żeby poszukać swojej pani. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Dolne skrzydło każdego z okien było uchylone na dwa cale. Na szczęście w tej części miasta wiosenne powietrze psuł jedynie swąd dymu i smród końskiego nawozu, przed czym skutecznie zabezpieczał mnie zapach trzymany w dłoni kwiatów. Już wcześniej zauważyłam, że dla zamożniejszych londyńczyków przystrajanie wnętrza i ubrań żywymi kwiatami było nie tyle luksusem, ile koniecznością chroniącą zmysł powonienia.

W głębi domu rozległ się cichy głos:

– Kto przyszedł, Rose? – Po chwili, nie czekając na odpowiedź, w drzwiach salonu pojawiła się, dzierżąc w dłoni moją wizytówkę, pani Watson, blada, lecz opanowana. – Czy przyszła pani z wizytą do doktora? Obawiam się, że go nie ma. Czy mogę coś dla pani zrobić? – zagadnęła mnie z serdeczną troską.

Stałam zdumiona, patrząc na jej czerwone, zapuchnięte powieki. Moje wątpliwości się rozwiały: doktor Watson naprawdę zniknął. Cierpienie jego żony było autentyczne, ale nawet w trudnych chwilach zakładała, że przyszłam tu szukać pomocy, a nie przynieść słowa otuchy.

Reakcja tej niezwyklej kobiety wzbudziła we mnie tak wielki wstyd, że wręczając jej bukiet, nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów.

– Czytałam o tym w prasie i nie mogę pojąć, dlaczego, bo przecież jest tak zacny, pani mąż znaczy się, i mam nadzieję, że nic mu nie jest, i proszę mi wybaczyć najście w tak niefortunnych okolicznościach, ale pomyślałam, że może ten kwietny dar... – wyjąkałam. Zauważyłam, że mój bukiet nie był pierwszy, jednak liczba kwiatów w saloniku nie przytłaczała.

– Jak to miło z pani strony, dziękuję. – Wargi pani Watson drżały nieco, kiedy odbierała ode mnie bukiet z przebiśniegów i jaśminu, jednak w jej łagodnym spojrzeniu malowało się lekkie zdziwienie.

– Byłam pacjentką pani męża – wyjaśniłam spieszenie na to nieme pytanie o powód mojej wizyty. Powinnam od tego zacząć.

Skinęła głową, godząc się pokornie z obecnością bardzo młodej, niezbyt rozgarniętej i raczej atrakcyjnej (oby!) nieznajomej w swoim domu.

– Ufam, że mi pani wybaczy. Nie znam wszystkich pacjentów męża.

– Przecież trudno tego od pani wymagać! A kiedy przeczytałam w gazecie... no wie pani... poczułam, że muszę coś zrobić, ponieważ pan doktor nie tylko mi dopomógł, ale także wykazał się wielkim taktem i zrozumieniem, zajmując się moim przypadkiem. – I było to w pewnym sensie zgodne z prawdą. Kłamiąc, zawsze staram się trzymać jak najbliżej faktów. Dzięki temu łatwiej mogłam zapamiętać swoje tłumaczenia.

– Ale to tak pocziwe i urocze, że pani tu przyszła.

Zrobiło mi się przykro, że ją oszukuję, ale szybko zbeształam się w duchu: przecież jestem tu, żeby jej pomóc.

– Jakie piękne kwiaty – zachwyciła się, tuląc wiązanekę do piersi jak niemowlę. – Panno Everseau, byłabym niezmiernie wdzięczna... oczywiście, jeśli nie sprawi to pani kłopotu... Czy zechciałaby pani porozmawiać chwilę przy herbatce?

A jednak przecucia mnie nie myliły: mimo wrodzonej powściągliwości pani Watson w obliczu swojego nieszczęścia potrzebowała towarzystwa przyjaznej i życzliwej osoby, żeby móc się wyzalić. I kiedy zajęłyśmy miejsca przy stoliku, właściwie bez żadnej zachęty z mojej strony zaczęła snuć opowieść o tym, jak jej mąż wyszedł w środowy ranek z domu, tryskając humorem, z zamiarem złożenia kilku wizyt domowych i być może wstąpienia do klubu. Niestety wieczorem nie wrócił.

– Trzymałam jego kolację na piecu, aż się całkiem zwęgliła – powiedziała. – I nie potrafiłam się zdobyć, by ją wyrzucić do śmieci, ponieważ oznaczałoby to, że jego nieobecność przeciąga się ponad miarę, a nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że coś... coś złego mogło go spotkać... Powtarzałam sobie, że przecież lada chwila się zjawi. Musi.

Czekała tak całą noc, a o poranku posłała po policję i – rzecz jasna – po Sherlocka Holmesa. Nie wyjaśniła mi, kto to, zakładając – i słusznie – że wiem, co łączy jej męża ze sławnym detektywem. Funkcjonariusze zjawili się jako pierwsi, jednak odmówili wszczęcia śledztwa, nie mając żadnego dowodu na popełnienie przestępstwa.

– Poradzili mi, by jeszcze trochę poczekać, gdyż nie należy do rzadkości to, że mężczyzna znika na dzień, dwa lub trzy, a potem wraca do domu z pokorną miną przepity albo odurzony opium, którym raczył się w melinie w towarzystwie kobiet lekkich obyczajów.

– Naprawdę tak powiedzieli?! – zdziwiłam się może nazbyt głośno.

– Może ujęli to nieco krócej, ale dobrze wiedziałam, co mają na myśli. Jak gdyby John był do czegoś takiego zdolny. – Mimo słusznego oburzenia wciąż mówiła cichym i spokojnym tonem. – Całe szczęście, że po chwili zjawił się pan Sherlock Holmes i zajął się wyjaśnianiem całej tej historii.

– Czy doszedł do jakichś wniosków?

– Powiedział, że skontaktuje się ze mną, kiedy będzie miał coś istotnego do zakomunikowania.

Więcej się nie pojawił.

– Czy miał jakąś hipotezę?

– Nie wyklucza opcji, że może to być zemsta jakiegoś złoczyńcy skierowana przeciwko niemu.

Bo przecież John nie miał żadnych wrogów.

– Nie zdarzali się marudni pacjenci?

– Naturalnie, to nieuniknione. Pan Holmes zabrał całą dokumentację medyczną Johna, żeby zbadać każdy trop.

Świetnie. Dzięki temu nie będzie jej kusiło, by szukać informacji na temat niejakiej Violi Everseau. Pochyliłam się w jej stronę.

– Pani Watson, a jakie są *pani* podejrzenia?

Jej opanowanie momentalnie prysło. Uniosła dłonie do twarzy.

– Sama nie wiem, co o tym myśleć. – W tej chwili do saloniku weszła służąca z tacą. Pani Watson opanowała z widocznym wysiłkiem nerwy i nalewając herbatę, zmieniła temat. – Czy pani i rodzina mieszkacie tutaj, w Londynie, panno... mmm... Everseau?

Odpowiedziałam, że mieszkam tu samotnie, do niedawna pracowałam w biurze, ale chwilowo nie mam żadnego zajęcia i szukam posady przy Fleet Street. Wszystko to było prawdą, choć niczego to nie zmieniało. Gdybym jej oświadczyła, że ujeżdżam w cyrku konie bez siodła, skwitowałaby to równie obojętnym skinieniem głowy. Rozpacz uniemożliwiała jej racjonalne myślenie.

Sącyłyśmy herbatę w krępującej ciszy. Pragnąc przerwać milczenie, wyraziłam podziw dla wystroju pomieszczenia, w którym przebywałyśmy.

– Jakież piękne litografie. Podziwiam osoby, które potrafią zadbać nie tylko o wygodę sprzętów, lecz także o aspekt estetyczny wnętrza.

Podziwiałam szczerze także i panią Watson, która dzielnie przystąpiła do nalewania drugiej filiżanki herbaty, rozglądając się po saloniku, jakby widziała go po raz pierwszy.

– I co za uroczy szpinecik – dodałam. Wiedziałam, że jako guwernantka pół życia spędziła na brzdąkaniu w klawisze, mimo to spytałam: – Grywa pani?

Biedactwo z ledwością pojmowało, o co mi chodzi.

– A... mmm... tak. Tak, ja... – Znękany umysł znalazł chwilowe wybawienie w stojących na instrumencie stokrotkach. – To prawda, że kwiaty niosą pociechę w strapieniu – zauważyła bez przekonania. – Niewielką, ale zawsze. Dostają je nawet od nieznanym. Ludzie są tacy życzliwi.

Kiwałam głową ze zrozumieniem, chociaż w duchu uznałam, że cieszy się na wyrost, ponieważ kwiatów nie było aż tak dużo. Oczywiście stał tam już mój bukiet, który – ku mojemu zadowoleniu – pokojówka wstawiła do wazonu, nie naruszając kunsztownej kompozycji. Oprócz niego zauważyłam pęczek konwalii oznaczający życzenia powrotu szczęśliwych dni, a także wszechobecne goździki, trochę białych róż oraz... Na narożnej konsoli stał najdziwniejszy bukiet, jaki zdarzyło mi się dotychczas widzieć. Jestem pewna, że wyprostowałam się nagle, wybałuszając oczy, ale powstrzymałam się od wszelkich uwag, poza krótkim:

– A to szczególne.

– Co? – Pani Watson odwróciła się niespiesznie, żeby zobaczyć przyczynę mojego zdumienia.

– A, tak. Dziwne, prawda? Maki, które słyną z czerwonej barwy, są białe, a głóg, który kwitnie na biało, jest czerwony. I nie mam pojęcia, co to za zielone pędy.

– Szparagi?! – zdumiałam się. Oczywiście nie zielone jadalne pędy, ale pojawiające się później delikatne jak pajęczyna gałązki pokryte włosowatymi szarozielonymi listkami. – Przerośnięte, rzecz jasna. – Było to niezgodne z kalendarzem przyrody, trwała bowiem pora zbioru grubych pędów.

– Wielkie nieba, ale pani jest spostrzegawcza! Skąd to pani wie? – Pani Watson zatrzepotała rękami.

– Moja matka zajmowała się botaniką. – To też po części prawda. Zresztą można tak powiedzieć o wszystkich szlachetnie urodzonych damach w Anglii: zamiłowanie do kwiatów i roślin uznawano za typowo kobiece hobby.

– I badała szparagi? Jeszcze nie spotkałam się z czymś takim w bukiecie.

– Ani ja. – Chociaż zielone listki były co najmniej dziwaczne, to znacznie bardziej niepokoiły mnie kwiaty. Ich ukryte znaczenie zmroziło mi krew w żyłach. Starając się nie zdradzić, zmienionym tonem głosu spytałam: – Droga pani Watson, czy zna pani tak zwaną mowę kwiatów?

– Tylko z grubsza. Mało było w moim życiu okazji do przekazywania za ich pośrednictwem wiadomości. – Stwierdziła ten fakt z odrobiną dobroduszej kpiny. – Głóg symbolizuje nadzieję, prawda? A mak ukojenie.

– W tradycji francuskiej, i owszem.

W folklorze Wysp Brytyjskich głóg to krzew od niepamiętnych czasów utożsamiany z pogańskimi bóstwami i wrózkami, symbolizujący pecha. Żadna wieśniaczka nie wniosłaby tych ślicznych baldachowatych kwiatuszków pod swój dach, ponieważ mogłoby to ściągnąć na całe domostwo nieszczęście, a nawet śmierć. Nie powiedziałam tego głośno. Przyznałam tylko rozmówczyni, że czerwony mak symbolizuje ukojenie, natomiast biały kojarzony jest ze snem.

– Doprawdy? – zastanowiła się przez chwilę, a potem się uśmiechnęła. – Sen stanowczo by mi się teraz przydał.

– Przedziwny jest ten bukiet. Kto go pani podarował?

– Nie mam pojęcia. Jakiś chłopiec go dostarczył.

Odstawiłam filiżankę i podniosłam się z krzesła. Przeszłam przez salon, żeby przyjrzeć się kwiatom. Maki z pewnością wyhodowano w oranżerii – o tej porze roku wszystkie kwiaty, prócz przebiśniegów, pochodziły ze szklarni. Nie było w tym nic dziwnego. Ale żeby uprawiać pod szkłem *szparagi*? Przedziwna sprawa. No dobrze, może ktoś był bardzo spragniony świeżych warzyw. A głóg? Komu przyszłoby do głowy pielęgnować tak bezużyteczny i ciernisty krzew w oranżerii, skoro można go było spotkać niemal wszędzie, bo rozsiewał się jak chwast?

Przyglądając się z bliska głogowym gałązkom, zauważyłam, że ich kolczaste pędy oplatało delikatne pnącze, którego białe kwiatki zdążyły już zwiędnąć.

Powój.

Polny chwast o trąbkowatych kwiatkach, pojawiający się latem w polnych chaszczach i żywopłotach równie często jak wróble. Jednak o tak wczesnej porze roku roślina mogła pochodzić jedynie z cieplarni. I była tam hodowana razem z głogiem, skoro zdołała go tak opleść.

*Powój*? Chwast zwany niekiedy wilcem. Już sama nazwa kojarzyła się z czymś podstępny, dławiącym, pokrętnym. Pomysł tak złowieszczy bukietu musiał się zrodzić w głowie pełnej równie pokrętnych myśli. Musiałam się dowiedzieć...

Ale kiedy miałam już zwrócić się do pani Watson z prośbą o szczegóły, drzwi otworzyły się z impetem i do salonu – nie czekając na zaanonsowanie przez służącą – wpadł wysoki, nienagannie ubrany, acz wzburzony dżentelmen. Przypominał drapieżnego ptaka, a wrażenie to potęgował wydatny orli nos. Był to Sherlock Holmes.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Muszę ze wstydem wyznać, że zaczerpnęłam głośno powietrza z przerażenia i podziwu. Te dwa uczucia nieodmiennie towarzyszą mi w kontaktach ze słynnym bratem. W moich oczach jego kamienna twarz była ideałem męskiej urody, jego szare oczy lśniły najjaśniej ze wszystkich, i gdyby nie okoliczności... ale nie miałam czasu na bezcelowe marzenia. Pojawszy grozę swojej sytuacji, poczułam nieodpartą chęć ucieczki. Na szczęście zajęta studiowaniem przedziwnej kompozycji kwietnej podeszłam tak blisko ściany, że nie mogłam się gwałtownie cofnąć, co z pewnością od razu zwróciłoby uwagę mojego brata.

Tymczasem on ledwo musnął mnie spojrzeniem. I chociaż przez kilka wypełnionych dzikim kołataniem serca sekund nie mogłam pojąć, dlaczego zignorował obecność swojej przerośniętej, niezgrabnej, długonosej siostry Enoli, to jednak w końcu zrozumiałam, że brak zainteresowania ze strony brata jest spowodowany moim nader udanym przebraniem. Kiedy tylko zobaczył w salonie pani Watson uwodzicielsko uczesaną i odzianą młodą kobietę, skierował swoją uwagę gdzie indziej. Można by nawet podejrzewać, że stronił od towarzystwa tego typu dam.

A obawy, że słyszał moje zachnięcie się, były bezpodstawne, ponieważ niemal równocześnie pani Watson poderwała się z głośnym okrzykiem:

– Pan Holmes! – Wyciągnęła ku niemu ręce. – Czy przynosi pan... czy coś wiadomo o Johnie?

Sądząc po spiętej i chmurnej twarzy Sherlocka, nie przyszedł z dobrymi wieściami. Gestem przywodzącym na myśl chwywanie dwóch trzepoczących skrzydłami gołębi pochwycił odzianymi w rękawiczki rękami dłonie pani Watson, ale nie odezwał się ani słowem. Dostrzegłam, że robi minę, jakby chciał jej narzucić milczenie, spoglądając znacząco w moją stronę.

– Ojej, zapomniałam o manierach! – Nie o to mu chodziło. Chciał się mnie pozbyć, ona jednak uznała, że wykazała się brakiem taktu, nie przedstawivszy nas sobie. Uwolniła dłonie z uścisku i odwróciła się ku mnie. – Panna, mmm...

Skoro już człowiek drży targany sprzecznymi emocjami, powinien to obrócić na swoją korzyść. Zwalniając panią Watson z obowiązku przypomnienia sobie mojego nazwiska, zapiszczałam głośno:

– Czy to *naprawdę* pan Holmes, ten wielki detektyw?! – Udając wielkie dziewczynskie rozpromienienie, ruszyłam przed siebie, uśmiechając się... a gdzie tam, szczerząc zęby jak kościotrup. – Ojej, jakże mi miło! – kwiliłam, podnosząc brzmienie głosu o dobrą oktawę. I choć umierałam z obawy, że brat mnie rozpozna, pochwyciłam oburącz jedną z jego obciążonych koźlącą skórą dłoń. – Och, kiedy cioteczka się dowie, że poznałam słynnego pana Sherlocka Holmesa!

Moja wylewność odniosła pożądany skutek: atak rynsztokowego szczura nie wzbudziłby w moim bracie większego obrzydzenia. Nie mogąc znieść mojego widoku, odwrócił głowę i wycedził zimno:

– Panno, ee...

– Everseau. Panna Viola Everseau – wymamrotałam.

– Panno Everseau, czy mogłaby nas pani opuścić?

– Oczywiście. Jak najbardziej. Wiem, że pan i pani Watson... To znaczy macie do omówienia bardzo ważne sprawy... Ale to dla mnie przeogromny zaszczyt i radość, że pana poznałam... – Szczeciocąc bez ładu i składu, dałam się potulnie wyprowadzić wiernej pokojówce Rose, która zjawiała się natychmiast z moim okryciem.

Kiedy rozległ się szcęk zamykanych drzwi frontowych rezydencji państwa Watsonów, wciąż nie mogłam uwierzyć, że udało mi się uciec. Zbiegając po kamiennych stopniach, czekałam tylko, aż usłyszę wołanie Sherlocka: „Jedną chwilkę! Enola? Enola! Konstablu, proszę zatrzymać tę młodą kobietę w peruce!”.

Ale nie. Z salonu dobiegały jego słowa skierowane do pani Watson.

– Obawiam się, że nie przynoszę dobrych wieści. – Mimo że mówił przytłumionym głosem, słyszałam go całkiem wyraźnie przez uchylone okna salonu. – Ale znalazłem jedną rzecz. Zlokalizowałem torbę lekarską Watsona.

Zatrzymałam się w pół kroku. Oj. Ojej, nie potrafiłam iść dalej. Brzmienie głosu brata działało na mnie jak magnes na igły i szpilki. Musiałam się dowiedzieć czegoś więcej. Ale co będzie, jeśli ktoś mnie przyłapie na podsłuchiwanie?

Udając, że szukam czegoś w kieszeniach sukni, obserwowałam kątem oka obie strony ulicy, która drzemała pogrążona w ciszy, przerywanej jedynie pojawieniem się mleczarki z kadzią na wózku i jednej czy dwóch turkoczących po bruku dorożek. Londyn jest pod tym względem przedziwnym miastem: w dzielnicach biedoty aż się roi od stojących w bramach kobiet nawołujących się wzajemnie, dzieciaków biegających w szaleńczym pędzie po błocie, żebraków, sprzedawców, pijaków, nicponi... natomiast ulice, przy których mieszkają lepiej sytuowani ludzie, są niemal wyludnione. Wyszorowane starannie przedproża prowadzą do zamkniętych drzwi. Znajdujące się po ich obu stronach okna chlubią się całymi szybami, ba, widać za nimi pelargonie w doniczkach, kanarka w klatce czy nieśmiało wyglądający zza koronkowej firanki napis „Pokój do wynajęcia”.

Ale też nigdy nie można być pewnym, czy zza koronkowych firanek nie obserwują nas czyjeś baczne oczy.

– Była w jego klubie – kontynuował Holmes. – Ktoś postawił ją z dala od spojrzeń za biureczkiem w stylu Davenport. Tkwiła tam niezauważona aż do dzisiaj.

– Ale... John by nie wyszedł... – W cichym głosie pani Watson dało się słyszeć przełykane z trudem łyż.

– No właśnie. – W głosie mojego brata dało się wyczuć pobudzenie. Serce ścisnęło mi się ze wzruszenia, kiedy słyszałam w jego wypowiedziach tak nieudolnie maskowany niepokój. – Żaden lekarz, a już z całą pewnością doktor Watson, nie rozstałby się dobrowolnie ze swoją czarną torbą.

Uległszy emocjom, uświadomiłam sobie nagle, że mogę w każdej chwili zdradzić się jakimś jękiem czy wydanym wbrew woli okrzykiem.

*Enolu, ty głupie dziewuszysko, uciekaj stąd!* – zbeształam samą siebie w duchu.

Odsunęłam się od okna, ale zaledwie na kilka kroków, by mieć pewność, że Sherlock albo pani Watson nie zobaczą mnie, gdyby nagle spojrzeli w okno. Zajęłam miejsce między narożnikiem budynku a oknem salonu. I stałam tak, bawiąc się rękawiczkami, starając się zapanować nad przyspieszonym oddechem i kołataniem serca.

Brat mówił dalej:

– Dlatego też możemy już chyba wykluczyć, że doszło do wypadku. Watson został celowo wywołany lub wyprowadzony z klubu przez jakąś nieznaną nam osobę czy organizację.

Pani Watson odpowiedziała mu coś, ale tak cicho, że nic nie zrozumiałam.

– Pewności nie mam, odnoszę wszakże wrażenie, że ugrupowania zwalczające świat medyczny, porównujące operacje na ludziach do wiwisekcji, cechują się raczej histerycznymi reakcjami i zazwyczaj nie prowadzą tak przemyślanych działań. A jednak, choć wydaje się to niemożliwe, musimy uwzględnić i taką hipotezę. Być może to jakiś wróg Watsona z czasów jego służby w wojsku. Rozważam taką ewentualność, choć intuicja podpowiada mi co innego. W pierwszym rzędzie podejrzewam londyński świat przestępczy. Niestety moi zaufani informatorzy nie dysponują żadną wiedzą w tym zakresie. Wygląda na to, że Watson grał z klubowiczami w bilard i nagle rozstała się pod nim ziemia...

Obok mnie przejechał z hurkotem wóz dostawczy. Woźnica obrzucił mnie ciekawskim spojrzeniem, zastanawiając się zapewne, co tam robię. Londyn ma to do siebie, że samotnie poruszająca się kobieta, która zatrzymuje się nawet na króciutką chwilę potrzebną choćby po to, żeby wydmuchać nos, naraża się na podejrzenie o przynależność do „zakała społeczeństwa”, jak się oględnie określa królowe nocy.

– Nie rozumiem tego milczenia, tej ciszy – słuchałam dalszego wywodu mojego brata, kiedy ucichł turkot kół. – Jeśli Watson padł ofiarą porwania, dlaczego nie pojawiło się żądanie okupu? Jeśli uprowadził go jakiś nieznaną nam nieprzyjaciel, dlaczego nie zostawił pełnego buty oświadczenia o chęci zemsty? Prześladowca pani męża powinien się już do tej pory odezwać. Może jednak chciałaby pani coś zgłosić? Może wydarzyło się coś niezwykłego?

Udzieliła krótkiej odpowiedzi.

– Kwiaty? – prychnął Holmes z nieskrywanym zniecierpliwieniem. – To oczywiste, że znajomi spieszą z takimi wyrazami współczucia. Nie, skoro mamy zaangażować w poszukiwania policję, potrzebujemy czegoś bardziej przekonującego niż czarna torba i anonimowy bukiet. Proszę się zastanowić. Czy nie ma nic...?

Pani Watson powiedziała coś łamiącym się głosem.

– To prawda, logika nakazuje nam przypuszczać, że mogło dojść do morderstwa. – Mój brat mówił to ze ściśniętym gardłem. – I w takim przypadku nie byłoby żadnych sygnałów od sprawcy. Tak, rozważałem taką możliwość, ale nie traćmy nadziei. Nie wolno nam tracić nadziei! Poza tym – dodał z mrocznym żarem w głosie – nie spocznę dopóty, dopóki nie dotrę do sedna tej sprawy.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Ulicą przejechał z hukiem kolejny pojazd, tym razem kalesza. Stangret i jego pasażerowie przyglądali mi się pytająco. Poczułam się jak tarcza wystawiona na strzały.

Wreszcie ponownie usłyszałam głos brata.

– Musimy to przetrwać. Nie ma innego wyjścia. Zatem nie przypomni sobie pani niczego, co mogłoby mi pomóc?

Milczenie.

– Czy ktoś panią odwiedzał? Poza tą afektowaną młodą kobietą, która przed chwilą stąd wyszła?

O mój Boże. Nerwy odmówiły mi posłuszeństwa i ruszyłam w drogę powrotną, stosując się do wskazówek zawartych w *Moralnym przewodniku dla dam*: „W sposób dystyngowany i cichy, nie ociągając się zbytnio ani nie przyspieszając za bardzo kroku, czyniąc wrażenie osoby, która wie, dokąd zmierza...”. I dopiero kiedy znalazłam się za rogiem ulicy, wypuściłam powietrze z płuc. Z przerażeniem zastanawiałam się, czy trafiłam na listę podejrzanych Sherlocka.

Miałam szczerą nadzieję, że nie. Nie życzyłam sobie z jego strony zainteresowania „afektowaną młodą kobietą”, tym bardziej że nie powinien teraz tracić czasu, ale poświęcić każdą chwilę rozwiązywaniu zagadki zniknięcia Watsona...

A on marnował czas, doszłam do wniosku, kiedy wkroczyłam w część miasta pełną sklepów i biur. („Unikaj wystawiania przed wystawami sklepowymi, omijaj zdecydowanie nawet najbardziej kuszące witryny pełne luksusowych towarów. Mijaj przedstawicieli płci męskiej, nie patrząc na nich, choć musisz nieustannie ich obserwować”). Mój genialny brat miał talent do rozwiązywania nawet najbardziej zawikłanych zagadek, jednak wciąż popełniał ten sam błąd, zupełnie pomijając zjawiska świata kobiecego: w tym przypadku wiadomość zaszyfrowaną w bukietach kwiatów.

Byłam pewna, że pełna buty zapowiedź zemsty została wyrażona za pośrednictwem głogu, maków i powoju przystrojonych wbrew wszelkim regułom wiotkimi pędami szparagów. Byłam w kropce, jeśli chodzi o szparagowe witki. Miałam jednak przeczucie graniczące z pewnością, że przedziwny bukiet nie pochodził ani od przedstawiciela przestępczego półświatka, ani od kogoś z kręgu dawnych znajomych z wojska. Nie, przysłał go ktoś, kto nie czułby się dobrze ani w jednym, ani w drugim środowisku, ktoś bardzo ekscentryczny, lecz małostkowy, a jednocześnie pomysłowy w pielęgnowaniu urazy, ktoś, kto wyhodował w sobie bardzo specyficzną odmianę radosnego szaleństwa. Ktoś, kto traktował złowieszczy botaniczny symbol tak poważnie, że uprawiał – albo uprawiała – w oranżerii pospolity głóg.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ale jak odszukać tę jakże bardzo intrygującą osobę?

Przychodziły mi na myśl trzy możliwe opcje. Pierwsza – ustalić adresy oranżerii i złożyć w nich wizytę – wymagałaby zbyt dużych nakładów czasu, druga wydawała się bardziej obiecująca, postanowiłam więc niezwłocznie się nią zająć. Musiałam tylko znaleźć miejsce, w którym mogłabym zasiąść do pisania.

Dzień był bardzo ciepły, więc wybrałam ławeczkę w pobliżu jednej z najnowszych i licznych na West Endzie fontann z wodą pitną, potężną jak większość pomników upamiętniających wojenne dzieje i zwieńczoną uskrzydłonymi postaciami. W połowie wysokości pysznił się zbiornik, który miał zapewne imitować gigantyczną muszlę przegrzebka, choć bardziej przypominał rosnącą na drzewie hubę. Nad nią wisiał kurek w kształcie morświna, oferując panom i paniom możliwość orzeźwienia. Trochę niżej znajdował się podobny zestaw przeznaczony dla spragnionych koni, a jeszcze niżej, tuż nad chodnikiem, mniejsze korytko na użytek psów i – jak się domyślałam – kotów, szczurów i londyńskich uliczników. Usadowiwszy się na ławeczce, z której mogłam podziwiać przedstawicieli różnych gatunków korzystających z najnowszego osiągnięcia higienistów, wyciągnęłam z kieszeni karteczki i ołówki, by skreślić tekst ogłoszenia, które postanowiłam zamieścić na szpaltach wszystkich londyńskich gazet. Po kilku próbach udało mi się ograniczyć zapis do niezbędnego minimum:

„Głóg, powój, maki i szparag: czego chcesz? Zamieść tu odpowiedź. M.M.W.”

Podpisałam się inicjałami Mary Morstan Watson, sugerując, że to ona zamieściła ogłoszenie.

Zadowolona z efektu przepisałam tekst w wielu egzemplarzach, które miały trafić do redakcji londyńskich gazet. Następnie, wskoczywszy do przejeżdżającego tramwaju konnego (jako nowoczesna mieszkanka miasta nauczyłam się to robić bez zatrzymywania woźnicy), wysupłałam jednego pensa, by zapewnić sobie szybki przejazd na londyńską Fleet Street.

Odwiedzałam mieszczące się tam redakcje pism już wiele razy, gdzie uprzejmie, acz obojętnie obsługiwała mnie rzesza urzędników brzydszej płci. Tym razem jednak uprzejmość panów wzrosła w znaczący sposób, a obojętność rozplynęła się bez śladu. Przejęta myślami o sprawach niezwiązanych z moim wyglądem początkowo nie potrafiłam wytłumaczyć sobie żadną miarą tej odmiany.

*Na miłość boską!* – zachnęłam się w duchu, przypomniawszy sobie o obfitej koafiurze i niezliczonych damskich upiękaszczach. – *Co za osły.*

Kiedy zlecałam i opłacałam zamieszczenie ostatniego ze swoich ogłoszeń, zrobiło się już ciemno i dopadło mnie znużenie. Nie mogłam jednak udać się na spoczynek, ponieważ musiałam jeszcze wdrożyć w życie trzeci plan mogący mi pomóc w ustaleniu nadawcy przedziwnych wiązańek. Nie sądzę, by ktoś zadał sobie trud uprawiania w szklarni głogu i powoju, by napawać się krótką chwilą triumfu; ktoś chowający tak silną urazę będzie dalej dawać upust nienawiści w kwietnej formie. Spodziewając się kolejnej dostawy, musiałam być na miejscu, by stać na czatach i przyłapać posłańca.

Trzeba było zatem wrócić tam, skąd przyjechałam. Cieszyłam się, że zapadła noc. Mrok był moim sprzymierzeńcem, zmniejszał bowiem ryzyko, że pani Watson przydybie mnie kręcącą się w pobliżu miejsca jej zamieszkania. Dla pewności przywołałam dorożkę. Poprosiłam fiakra, by zatrzymał się dokładnie naprzeciwko upatrzonej przeze mnie kamienicy, i kazałam mu czekać. W ten sposób wielki czterokołowy pojazd stał między mną a drzwiami wejściowymi rezydencji doktora Johna Watsona. Kamienica z umieszczonym w oknie napisem „Pokój do wynajęcia” znajdował się niemal *vis-à-vis* domostwa Watsonów.

Podniosłam pałąk kołatki, zaklinając w myślach przeznaczenie czy fatum: *Błagam, niech okna rzeczonoego pokoju wychodzą na ulicę.*

Wychodziły.

Doskonale.

Doskonale, niestety tylko pod tym jednym względem. Pod innymi było to okropne pomieszczenie, chłodne, puste i przygnębiające, z twardym jak deska i niemal równie wąskim łóżkiem. Na domiar złego zarządzająca wolnym pokojem gospodyni była surowa i nieprzyjemna. Biorąc pod



uwagę to oraz zawrotny koszt tygodniowego najmu, nie dziwiłam się zbytnio, że do tej pory nie było chętnych. Dla niepoznaki potargowałam się przez chwilę, choć byłam gotowa zapłacić każdą cenę. Koniec końców po kilku minutach wręczyłam babsku pieniądze, otrzymując w zamian upragniony klucz.

Musiałam się tu zjawić następnego ranka. A jeśli podczas mojej popołudniowej nieobecności ktoś dostarczył pani Watson drugi podejrzany bukiet? Dręcząca myśl. Gdyby nawet była to prawda, nie miałam wątpliwości, że przepełniony jadem nadawca wkrótce poleci dostarczyć kolejną wiązanekę. A ja nie mogę tej chwili przeoczyć.

Wróciłam do dorożki i zamówiłam kurs do Aldersgate. Tam odprawiłam woźnicę i przemaszerowawszy przez budynek dworca, wyszłam drugimi drzwiami, by przywołać innego fiakra. Takie środki ostrożności weszły mi już w krew: nie mogę zapomnieć o tym, że woźnica może zostać wezwany do złożenia zeznań. A przecież jestem uciekinierką będącą w centrum zainteresowania najsławniejszego detektywa świata.

Rzuciłam nowemu dorożkarzowi adres uliczki na East Endzie, którą bardzo rzadko zaszczycały tego typu pojazdy. Ponownie poprosiłam fiakra, by na mnie zaczekał, a potem udałam się do siebie, by spakować niezbędne rzeczy, usiłując jednocześnie wyjaśnić zdumionej i zdeglustowanej pani Tupper, że „wyjeżdżam na parę dni w odwiedziny do ciotki”.

– He? – Uniosła do ucha trąbkę.

– Jadę z wizytą do swojej ciotki!

– He? – Wybałuszyła wyblakłe oczy, i choć dalej nic nie pojmowała, nie ośmieliła się podejść bliżej. Stała w progu mojego pokoiku, patrząc, jak przesłiczna młoda dama wrzuca w pośpiechu ubrania do torby podróżnej. Przecież przez cały miesiąc to dziewczysko o wyglądzie stracha na wróble nie wyściubiło z pokoju nosa. Z pewnością skonstatowała, iż postradało zmysły, i zachodziła w głowę, czy aby nie jest przez to niebezpieczne dla otoczenia i czy nie należałoby wezwać na tę okoliczność konstabla.

– Jadę! W odwiedziny! Do ciotki! – wrzasnęłam prosto w wylot trąbki, a potem objuczona dwiema torbami, przemknęłam obok niej i zbiegłam na dół.

Następny poranek, a była to niedziela, zastał mnie na nakładaniu różu, naklejaniu pieprzyka, pudrowaniu twarzy i tym podobnych zabiegach, bym mogła powitać dzień w moim nowym przeuroczym wcieleniu – bardzo nad tym ubolewałam, wiedząc, że szykujące się na wyjście do kościoła londyńskie elegantki wkładały w to o wiele mniej wysiłku. Ale przynajmniej peruka nie wymagała ponownego czesania, ponieważ odwiesiłam ją na czas przygotowań na słupku łóżka, by nie dźwigać przedwcześnie na głowie tej grzejącej jak piec czapy. Czekająca na swoją kolej z przyszpilonym kapeluszem. Nie chcąc się bez niej pokazywać, poprosiłam gburowatą gospodynię, by śniadanie przyniosła mi na tacy i postawiła pod drzwiami. A ja, zasznurowana w gorset, by wyglądać jak klepsydra, wciśnięta w olśniewającą bufiastą i falbaniastą suknię w kolorze paryskiej zieleni usadowiłam się w oknie, położyłam na parapecie teatralną lornetkę i zajęłam się obserwowaniem ulicy w ogólności i domu państwa Watsonów w szczególności, błogosławiąc maskujące właściwości koronkowych firanek.

Musiałam się chwilowo ukrywać ze względu na swoją pospieszną przeprowadzkę. Po paru dniach nie będę się już przejmować tym, że mogę się natknąć na panią doktorową. Co więcej, sama do niej podejść, by opowiedzieć jej o szczęśliwym trafie, dzięki któremu po pierwszej u niej wizycie dostrzegłam anons o pokoju do wynajęcia, a właśnie rozglądałam się za jakimś kątem, i spytam, czy są już jakieś wieści o doktorze Watsonie.

Miałam jednocześnie cichą nadzieję, że moje czuwanie potrwa krócej niż parę dni, ponieważ już pierwszych kilka godzin wynudziło mnie śmiertelnie. Na porządnym ulicach tak niewiele się dzieje... Z rzadka przejeżdżały pod moim oknem dorożki (z niedzielną taryfą), wypucowane i lśniące, jak na dzień święty przystało. Moi sąsiedzi, w tym pani Watsonowa, wracali do domów z nabożeństwa. Zauważyłam, że żona doktora zatrzymała się na chwilę, by poklepać dorożkarskiego konia. Rzadki gest ze strony eleganckiej damy niosący ryzyko ubrudzenia niedzielnego przyodziewku. Przyglądałam się

uroczej mężatce z mieszaniną podziwu i współczucia. Była ubrana na czarno, jakby już opłakiwała małżonka.

Kiedy parafianie rozeszli się do domów, ulica na dobrą godzinę pograżyła się w bezruchu. W końcu jednak pojawiła się zgięta wpół staruszka okutana szalem. Pukała do kolejnych drzwi, namawiając do kupna fiołków, które niosła w płaskim koszyku.

I przez następne pół godziny nic więcej się nie wydarzyło.

Potem nadjechała polewaczka. Idący kłusem koń unosił z gracją ogon, ale mój zachwyty trwał krótko: zwierzak gubił kulki nawozu. Jak na ironię, ponieważ zadaniem wozivody było mycie ulic z odchodów, którymi wzgardziłyby nawet szanujący się ślimak. Trud czyszczenia bruku trwał nieprzerwanie czy to świątek, czy piątek: po mieście krążyło mnóstwo zaprzęgów, a każdy koń produkował czterdzieści pięć funtów nawozu dziennie, jak pewnego dnia poinformowała mnie mama...

*Nie myśl o mamie.*

Chcąc skierować myśli na inny tor, ujęłam w palce gustowną broszkę z opalem zdobiacą gors mojej sukni i pociągnęłam ku górze, by spojrzeć na cienkie ostrze ukrytego w brykli gorsetu sztylecika. Klejnot był jego rękojeścią. Widok wysuniętej klingi napełnił mnie otuchą. Już raz zrobiłam z niej użytek, broniąc się przed napastnikiem z garotą. Wcześniej jednak sama omal nie padłam ofiarą nożownika i tylko dzięki stelażowi gorsetu uniknęłam zadźgania. Wypadek ten przekonał mnie do znieawidzonego ongiś narzędzia tortur i zleciłam wykonanie kilku gorsetów według własnego projektu: ich metalowe elementy nie wrzynały mi się w talię i nie kłuły pod pachami, a one same zapewniały aż nadto miejsca dla rozmaitych poduszczek udających krągłości, których brakowało mojej tyczkowej figurze, wypełnionych niezbędnymi przedmiotami oraz małą fortuną w brytyjskich banknotach... o którą zadbała mama.

*No, nie myśl o mamie!*

Wsunęłam pospiesznie sztylet pod zapięcie stanika sukni, chowając go z powrotem, i przeprowadziłam w myślach remanent pozostałych przedmiotów poutykanych w gorsecie: bandaże, nożyczki, jodyna, pończochy na zmianę, szpulka nici, igła...

W zasięgu wzroku pojawiła się wystrojona w najlepszą błękitną pelerynkę i takiż czepek niańka, pchająca jedną dłonią osłonięty parasolką wózek, a drugą trzymając za rączkę drepczącą u jej boku dziewczynkę w różowej sukience z falbankami i białym fartuszku.

Ziewnięcie.

...szal na głowę, treski włosów, binokle dla zmylenia przeciwnika, lorgnon zastępujące mi lupę, sole trzeźwiące, karmelki, herbatniki...

Zza odległego rogu ulicy wychynął drobny mały obdartus dźwigający naręcze kwiatów prawie tak duże, jak on sam.

Inwentaryzacja i nuda poszły w kąt. Chwyciłam lornetkę, by podjąć próbę identyfikacji poszczególnych elementów wiązanki. Niestety ten przeklęty nierozgarnięty ulicznik niósł ją wciśniętą pod pachę, kwiatami do dołu, jakby się bał, że go pogryzą. Początkowo nie mogłam rozpoznać żadnego kształtu, musiałam więc zadowolić się zapamiętywaniem szczegółów brudnego kraciastego stroju i rysów niegrzeszącej inteligencją twarzy. Zatrzymywał się przed każdymi drzwiami, patrząc z rozdziawionymi ustami na kolejne numery.

Możliwe, że wcale nie szuka domu Watsonów, możliwe, że w ogóle nie powinien mnie interesować.

Serce zabiło mi mocniej na znak protestu.

*Nonsens. To musi być...*

Był.

Przyjrzawszy się z daleka numerowi, skręcił, by wejść na schody wiodące do rezydencji państwa Watsonów. Dopiero gdy stanął tyłem do mnie, zobaczyłam, co składało się na bukiet.

Złotokap.

Dzwonki.

Powój – znowu.

Wiotka mgiełka gałązek *sparagowych*. Znowu.

Gałązki cisu.

O bogowie.

Rzuciłam lornetkę na parapet, poderwałam się na równe nogi, nasadziłam perukę z kapeluszem i całą resztą na głowę, chwyciłam pelerynkę, opuściłam swoje tymczasowe lokum i zbiegłam ze schodów z zamiarem zatrzymania chłopaka tuż po dostarczeniu przesyłki.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Złotokap to wyjątkowo piękne drzewko, pokrywające się na wiosnę kaskadami żółtych „płaczących” kwiatostanów.

Z kolei niebieskawe dzwonki od wieków są kojarzone z wrózkami, pechem i czarami. W *Mowie kwiatów* oznaczają poddanie się rozpaczy.

Cis to cmentarne drzewo symbolizujące śmierć.

Nawet gdyby w bukiecie brakowało powoju i szparagowych wiechci, miałabym pewność, że układała go ta sama mściwa osoba co poprzedni. Czy ta podła persona może stać za zniknięciem doktora Watsona?

Popędziłam na dół i wybiegłam na ulicę tak szybko, jak się dało, okazało się jednak, że przekłety mały rozdziawiaka, który tak się ociągał z podejściem do właściwych drzwi, czmychnął po oddaniu przesyłki w takim tempie, że już dobiegał do rogu ulicy.

No nie. Niedoczekanie. Nie ucieknie mi! Podkasawszy oburącz spódnicę i halki, rzuciłam się w pościg.

Mam długie nogi i uwielbiam biegać. Dawniej wciąż przynosiłam wstyd rodzinie, biegając, łażąc po drzewach i zachowując się, jak na istotę dwunożną przystało, jednak ta sakramencka spódnica nie pozwalała mi rozwinąć w pełni skrzydeł. Trzymałam ją w garści, uniemożliwiając sobie pracę rąk. Do pomocy włączyły się więc pozostałe części ciała: głowa wpadła w chybot, zarzucało mną na boki. Z pewnością wyglądałam jak przerośnięta szmaragdowa gęś przypilona nagłą potrzebą.

Przechodnie przyglądali mi się z przerażeniem. Pamiętam, że śmignęłam obok elegantki, która zamieniła się w słup soli, uniósłszy odziane w jedwabne rękawiczki dłonie, by zasłonić otwarte szeroko usta. Nie mam natomiast pojęcia, jak mój widok podziałał na płeć męską. Dobrze prowadząca się dama może wprawdzie odsłonić na balu dekolt, jednak niech ją niebo ma w opiece, jeśli spod sukni mignie choćby fragmentek kostki. Ale i tak nie miałam głowy do tego, jak wyglądałam i co ludzie o mnie myślą, bo kiedy skręciłam za węgiew, znalazłam się tuż za biegnącym urwisem.

– Mały! – krzyknęłam w jego stronę.

Naiwnie liczyłam na to, że się zatrzyma i obejrzy, po czym utniemy sobie miłą pogawędkę, za którą wspaniałomyślnie dam mu jednopensówkę. Łajza zerknął tylko na mnie przez ramię, wybałuszył głupawe oczy i wyrwał do przodu jak zając ścigany przez sforę psów.

Głupi mały wisus, dlaczego aż tak się mnie boi?

– Mały! Zaczekaj, matolku! Wracaj tu! – Nie zwalniając kroku, popędziłam w ślad za nim. Z łatwością zdobyłam przewagę nad tym nierozgarniętym dzieciakiem ze slumsów. I z pewnością bym go dopadła, gdyby nie skręcił nagle w stronę Covent Garden, wbiegając na ruchliwą ulicę. Na domiar złego zamiast trzymać się chodnika, pędził dalej po bruku, wymijając slalomem wozy z ziemniakami, stragany na kółkach i dorożki, cudem unikając stratowania przez konie. I jako dziecko ulicy, w tych warunkach okazał się lepszy od dziewczyny ze wsi, nienawykłej do kluczenia między omnibusami. Przebiegłam za nim spory kawałek, ale w końcu zniknął mi bezpowrotnie z oczu.

Przystanąłam na rogu, na którym widziałam go po raz ostatni. Twarz mi płonęła, dyszałam ciężko i wciąż przytrzymując jedną ręką fałdy sukni, próbowałam przywołać do porządku perukę, która wedle wszelkich oznak miała zamiar pożegnać się z moją głową. Niech dunder świśnie to cholerstwo. Trzeba jednak było nie zwlekać z jej nałożeniem do ostatniej chwili i zadbać o solidne przypięcie jej do włosów spinkami. Byłam zbyt zziajana, by choćby wymamrotać gniewne słowa, które cisnęły mi się na usta. Rozglądałam się na wszystkie strony niepewna, dokąd mam się udać.

Byłam bliska poddania się. I w końcu tak zrobiłam. Z westchnieniem umęczenia i porażki opuściłam spódnicę – a przynajmniej tę jej część, która nie była powalana błotem – przysłaniając w końcu nieskromnie obnażone kostki. Potem, nie bacząc na zdumione spojrzenia wystrojonych na pokaz niedzielnych spacerowiczów, zaprzęgam ręce do ratowania zsuwającej się peruki. Wiedzona koniecznością doprowadzenia się do porządku uniosłam ją nieco, by przywrócić ją na miejsce...

– Nie! – rozległ się dyszkantowy głosik.

Zaskoczona odwróciłam się, by zlokalizować źródło tej nieoczekiwanej prośby, i zobaczyłam ściganą przeze mnie ofiarę. Mały ulicznik wlepił we mnie wytrzeszczone oczy z kryjówki, którą zapewniła mu jedna z dwóch pustych skrzyń służących do wystawiania towaru, ustawionych obok wejścia do narożnego sklepika.

– Nie, błagam, nie! – zapiszczał.

Znieruchomiałam ze zdumienia tak jak stałam, z rękami na wysokości peruki.

– Ale co „nie”? – wyjąkałam. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co wywołało w nim takie przerażenie.

– Niech pani nie zdejmuje włosów! Nosa też nie! – zaskrzeczał.

– Aha. – Pokiwałam głową, jakby jego odpowiedź zaspokoila moją ciekawość. Niewątpliwie miałam do czynienia z małym kandydatem na wariata, przy którym trzeba się mieć na baczności. Starając się powstrzymać od gwałtownych ruchów, jakbym miała przed sobą zaszczute dzikie zwierzę, pozwoliłam peruce opaść na wybraną przez nią pozycję. – Oczywiście – powiedziałam pojednawczym tonem. – Nie bój się. Chcesz dostać pensa? – Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam garść monet. Zdaje się, że zgodnie z moimi oczekiwaniami metaliczne pobrzękiwanie i widok lśniących krążków podziałały na ulicznika uspokajająco, a przynajmniej przywołały z ukrycia szczątkową zdolność rozumowania. – Chcę tylko przez chwilę z tobą porozmawiać. Może jednak wyjdiesz? – przekonywałam.

– Nie!

– No to w takim razie sama tam się wcisnę, jeśli pozwolisz. – Przykucnęłam, by opaść na kolana przed skrzynią, w której się schował. Samo zmęczenie nie przekonałoby mnie do podjęcia takiej decyzji, mimo że byłam wycieńczona długim sprintem, jednak absurdalność całej sytuacji kazała mi się pozbyć hamulców. Słyszałam wokół pełne oburzenia sapanie świadków tej sceny i czułam, że się ode mnie odsuwają, jakby moje dziwaczne zachowanie mogło się na nich przenieść jak zaraza. Niespełna dwa lata wcześniej, podczas Złotego Jubileuszu królowej Wiktorii, pewna dama przysiadła na jednym z przejść w Kryształowym Pałacu, by zatknąć gałązkę jedliny za cholewę swego botka, a wkrótce zamknięto ją w zakładzie dla obłąkanych. Zadbał o to jej własny mąż. Częste bowiem były przypadki umieszczania u czubków niewiast, których zachowanie było jawnym świadectwem choroby umysłu: czytanie powieści, uczestnictwo w seansach spirytystycznych, kłótność, nieposłuszeństwo małżeńskie i tak dalej, i tak dalej. Fakt, że po drugą połowę przyjechali „łowcy ciał” w czarnym powozie, było sankcjonowanym sposobem na pozbycie się niepożądanego w domu osoby. W przeciwieństwie do rozwodu, który uważano za skandal.

„Jak dobrze, że postanowiłam nigdy nie wychodzić za mąż”, pomyślałam z uśmiechem, wciąż łapiąc oddech po „obłąkańczym biegu”. Klęczałam naprzeciwko chłopaka, jak gdybyśmy byli dwójką dzieci bawiących się w dorosłą herbatkę. Zwróciłam się uprzejmie do małego, umorusanego dzikusia:

– Moje uszanowanie. Miło mi cię poznać. – Uniosłam w dwóch palcach jednopensówkę, jak cukierek. – Zauważyłam, że przed chwilą dostarczyłeś do rezydencji państwa Watsonów bardzo piękny bukiet.

– Nie znam żadnych Watsonów. – Chłopak odburknął podejrzliwie, ale oczy już mu się zaświeciły na widok miedziaka.

– No to skąd wiedziałeś, do którego domu go zanieść?

– Ten pan podał mi numer.

– Jaki pan?

– No ten, co zdjął sobie nos.

Odniosłam wrażenie, że mój mózg poszedł w ślady nóg i odmówił dalszej współpracy, jednak kolejny raz potaknęłam z mądrą miną, postanowiwszy dać sobie chwilowo spokój z roztrząsaniem kwestii nosa.

– A jak poznałeś tego człowieka?

– Pomachał do mnie palcem. – Pokazał gest, którym przywoływano wałęsających się po ulicy chłopców, gdy zachodziła potrzeba dostarczenia paczki, przekazania wiadomości, przytrzymania konia za uzdę czy wykonania innej prostej czynności.

– Był w kolasce?

– Nie! Nie, nie szedł z laską, siedział w błyszczącym powozie, takim porządnym, z końmi.

Powstrzymałam się od wyjaśnienia nieukowi, że kolaska też jest pojazdem konnym, dociekając dalej:

– W faetonie? W kaleszy?

– Nie wiem, czy miał kalosze, ale jechał galantym czarnym powozem z żółtymi szprychami.

Opis ten pasował jak ulał do połowy londyńskich pojazdów. Spróbowałam raz jeszcze:

– Z godłem?

– Tak, od razu zgadłem, że czegoś chce. Podał mi wiecheć i dwupensówkę.

Pozbywszy się strachu, chłopak odzyskiwał stopniowo elokwencję. I bardzo dobrze, bo czułam się bezradna, ciągnąc za język młodziana o głowie nieproporcjonalnie wielkiej w stosunku do ciała, mieszczącej nieproporcjonalnie mały rozumek.

– Powiedz mi, jak ten pan wyglądał.

– Jak? Jak każdy jelegant. Miał końską twarz, szczecinę na brodzie, a na głowie cylinder. Tylko zdjął sobie kinol.

No masz babo placek, znów to samo.

– Zdjął sobie nos? – Z trudem usiłowałam stłumić zdziwiony ton.

I albo mi się udało, albo koszarne wspomnienie było dla chłopaka tak niepojęte, że ochoczo podjął temat.

– Utracił go sobie o drzwiczki, kiedy wystawił łeb z powozu, coby mi podać kwiaty – wyjaśnił pospiesznie. – Spadł mu na kolana i sam nie wiem, czy bardziej przelękło mnie to, że mu odpadł, czy to, że go podniósł, zaklął i zaczął nim machać w moją stronę, i grozić, że jak nie zaniosę kwiatów tam gdzie trzeba, to mnie odnajdzie i zrobi mi to samo, a do tego jeszcze wyłupi mi oczy.

– Czy widziałeś krew?

– Nie! – Chłopak zaczął się trząść. – Zupełnie, jakby miał twarz zrobioną z wosku.

– A co miał w miejscu nosa?

– Nic! Widziałem tylko dwie dziury, jak u kościotrupa. – Chłopak aż się wzdrygnął.

– Dziury?

Dzieciak dostał konwulsyjnych drgawek.

– Błagam! Niech pani nie odrywa sobie uszu ani niczego innego!

– Wielkie nieba, dlaczego miałabym to robić? A czy potem przytwierdził sobie nos z powrotem?

– Nie wiem! Wziąłem bukiet i poleciałem tam, gdzie mi kazał. A potem pani zaczęła mnie gonić! – Mały ulicznik zaniósł się płaczem, ale nie był to histeryczny ryk młodocianego barbarzyńcy, tylko szczere zawołanie wywołane straszliwymi przeżyciami. Widać było, że dziwaczne spotkanie zostawiło w jego umyśle niezatarte piętno. – A dlaczego pani za mną tak leciała?

– Mniejsza z tym. – Wróciłam do pozycji stojącej, świadoma tego, że każda przechodząca obok dobrze urodzona osoba obrzuca mnie przeciągłym spojrzeniem i omija szerokim łukiem, i wręczyłam malcowi sześciopensówkę zamiast obiecanego miedziaka, ponieważ czułam się winna doprowadzenia dziecka do tak gwałtownej reakcji. Wiedziałam, że już nie wyciągnę z niego nic sensownego.

Sensownego? A czy poznane przeze mnie fakty miały jakikolwiek sens?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wróciłam do swoich tymczasowych pieleszy, zadbawszy uprzednio o to, by nie wzbudzać po drodze zainteresowania, i zadzwoniłam po wrzątek. Umyłam się, przebrałam w czyste ubranie, odczyściłam z grubsza dół szmaragdowej sukienki i ułożyłam ponownie włosy – czyli zdjęłam perukę, uczesałam i upięłam jej rozwiane pukle w dopuszczalnie kokieteryjny sposób – cały czas myśląc.

A raczej usiłując zebrać myśli, które krążyły wokół jednego tematu: jak to się stało, że nadawca bukietu stracił nos. Przypomniałam sobie jak przez mgłę postać pewnego znanego duńskiego astronoma, który stracił swój narząd powonienia w pojedynku. Ale w obecnych czasach plamy na honorze usuwa się za pomocą pistoletów, nie szabel; zresztą angielskie prawo zakazuje pojedynków, chociaż są one na porządku dziennym w mniej rozwiniętych krajach kontynentalnej Europy. Poza tym nie wyobrażam sobie, by można było odstrzelić komuś nos. A ów Duńczyk – przypominałam sobie, że nazywał się Tycho Brahe – obstał sobie później protezę nosa z czystego srebra. Zastanawiające, że nie kazał go odlać ze złota, co byłoby zresztą w niewiele lepszym guście, ale zdaje się, że zanim nastąpiły rządy królowej Wiktorii, ludzie mieli nieco inne zapatrywania na pewne sprawy. Z całą pewnością w Anglii można także znaleźć osoby, których twarz uległa podobnej deformacji, jeśli nie za sprawą pojedynku, to na froncie wojennym. Powstanie sipajów, druga wojna afgańska i inne konflikty, lecz z całą pewnością nie paradowali po ulicach ze srebrnymi nosami, podbródkami czy uszami. Z czego zatem...

Rozległo się nieśmiałe pukanie. Uchyliły się drzwi i do pokoju weszła „dziewczyna do wszystkiego”, wynędziała istotka mająca nie więcej niż dziesięć lat.

– Czy zejdzie pani na kolację, panno Everseau?

– Tak, już idę. – Mimo że moja obecna gospodyni była wrednym przeciwieństwem pani Tupper, to jednak oferowane przez nią posiłki były o niebo lepsze.

Korzystając z okazji, posłałam dziewczuszkę po wieczorne wydania gazet. Wróciwszy do siebie po przepysznej kolacji z jagnięciną z miętowym sosem w roli głównej, podkreśliłam gaz. To prawdziwy luksus móc korzystać z tak prostego w obsłudze i jasnego oświetlenia, choć trzeba przyznać, że rury syczały i mruczały jak nawiedzony furia. Rozsiadłam się w najmniej niewygodnym z dostępnych foteli i przejrzałam skrupulatnie całą prasę. Najpierw sprawdziłam, czy nie pojawiły się nowe doniesienia dotyczące zniknięcia Watsona. Niestety sprawa utknęła w miejscu. Potem upewniłam się, czy zamieszczono mój anons: „Głóg, powój, maki i szparag: czego chcesz? Odpowiedz tutaj. M.M.W.”

Zamieszczono.

Ciekawe, że wiązanki wysyłał – i nie myślimy chwilowo o jego nosie – *mężczyzna*. Sprawy związane z kwiatami były zwyczajowo przypisane płci pięknej, chociaż zawsze można było, rzecz jasna, spotkać garstkę ekscentrycznych samozwańczych naukowców, naśladowców Malthusa i Darwina, usiłujących wyhodować krzyżówki orchidei w oranżeriach. Po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że każdy mężczyzna, który starał się o rękę czy też się ożenił, musiał się zetknąć z mową kwiatów. Co za szczęście, że obaj moi bracia to zdeklarowani kawalerowie i w związku z tym ta dziedzina wiedzy jest im obca. Niewątpliwie Sherlock, przeglądając ogłoszenia drobne w poszukiwaniu żądań związanych z zniknięciem Watsona, zauważyłby słowa „głóg, powój, maki i szparag”, reagując zaintrygowaniem i być może nawet dochodząc do błędnego wniosku, że mają coś wspólnego ze mną i z mamą. Wątpię, by w swoich przypuszczeniach zbliżył się do prawdy. Tak czy inaczej liczyłam na to, że rano człowiek od głogu udzieli jakiejś odpowiedzi. Tymczasem przeglądałam gazety, których nie zdążyłam przeczytać tego ranka i poprzedniego dnia.

Sporo się tego uzbierało, i choć w sumie nie miałam powodu, żeby zapoznawać się z ich treścią, to wyrobiłam w sobie nawyk śledzenia najnowszych wiadomości. Po chwili jednak przyłapałam się na tym, że czytam bez zrozumienia, a człowiek od czasu do czasu może przecież zrobić sobie wolne. Ziewnęłam i postanowiłam, że po lekturze szpałt z poradami osobistymi „Pall Mall Gazette” wrzucę wszystko do kominka.

I nagle coś zobaczyłam.

422555 14341122434251434251 52513342532355 2241654251 1342514155 135331321133  
5445535211 3132345565114354513311

Oj.

Ojejku. Senność natychmiast zniknęła, a ja z bijącym sercem sięgnęłam po papier i ołówek.

Najpierw zapisałam podzielony na pięć grup alfabet:

*ABCDE*

*FGHIJ*

*KLMNO*

*PQRST*

*UVWXYZ*

Potem przyjrzałam się pierwszemu słowu. Czwarty wiersz, druga litera, Q. Drugi wiersz, piąta litera, J.

*QJ?*

Uświadomiwszy sobie pomyłkę, rozpoczęłam od nowa. Czwarta litera drugiego wiersza, I. Druga litera piątego wiersza, V. Piąta litera piątego wiersza, Y.

IVY. Tak, to wiadomość dla mnie.

Mamrotanie gazu w rurach wydało mi się nagle głosem upiora. Bolesny, choć niematerialny gorset zacisnął się na mojej klatce piersiowej. Z trudem oddychałam, odszyfrowując kolejne słowa. Na szczęście nie zajęło mi to dużo czasu.

*IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY GDZIE KIEDY KOCHAM TWOJA CHRYSANTEMA*

Najlepsza i najgorsza z wszelkich możliwych wiadomości.

Nie będę mogła dłużej wzbraniać się przed myśleniem o mojej matce.

Tej nocy niewiele spałam. Doprawdy, gdybym nie zostawiła wszystkich moich ciepłych, szczelnie okrywających, ciemnych ubrań u pani Tupper, w ogóle nie próbowałabym spać, lecz wędrowałabym po mieście w poszukiwaniu osób mniej fortunnych niż ja sama, żeby obdarowywać je pożywieniem i szylingami, co pozwoliłoby mi na chwilę zapomnieć o własnych kłopotach. To nocne wędrowanie weszło mi już w krew – niech drzwi ścisną Violę Everseau, że mi to uniemożliwia. Zamiast tego leżę na twardym, wąskim łóżku, a moje myśli nie chcą się uspokoić, przemykając w pędzie i krążąc w kółko jak hałaśliwa, niesforna dzieciarnia.

Czy we wszechświecie już nie ma miejsca na ład? Mama nigdy nie próbowała nawiązać ze mną kontaktu. Inicjatywa zawsze wychodziła ode mnie.

To z pewnością podstęp. Jak ostatnim razem „mama” – czyli mój brat Sherlock Holmes – umówiła się na spotkanie, tyle tylko, że tym razem Sherlock użył szyfru kwiatowego, pisząc „jemioła” zamiast „spotkanie”...

Ale Sherlock nie mógł teraz marnować czasu na mnie, przecież zaginął doktor Watson!

Może to jednak rzeczywiście mama.

Skoro tak, to mama musi być w straszliwych tarapatkach.

A jednak, czy nie powinna sama wyznaczyć czasu i miejsca, skoro chciała się ze mną spotkać w pilnej sprawie?

A jeśli ktoś zastawił na mnie sidła – pozwalając mi wybrać gdzie i kiedy – czy to nie był sposób, by mnie zwabić?

Formalnie rzecz biorąc, mama nie powinna użyć hasła „jemioła”, ponieważ kryło się za nim potajemne spotkanie dżentelmena i jego ukochanej. Mama powinna napisać „szkarłatny kurzyśląd”.

Chyba że uznała, że „szkarłatny kurzyśląd” to zbyt długi tekst do szyfrowanej wiadomości.

Ale przecież mogłaby opuścić przymiotnik.

Czy nie powinna właśnie tak zrobić? Czy wiadomość jest fałszywa, nie pochodzi od niej, stanowi podstęp?

Ale dlaczego? I kto to mógł zrobić?

Ogłoszenie ukazało się tylko w „Pall Mall Gazette” i w żadnym innym dzienniku. W ulubionej publikacji mamy i w żadnej innej.



Tekst musiał więc pochodzić od mamy. Chciałam, żeby był od niej.

Czy chciałam się spotkać z mamą?

Tak.

Nie. Nie, byłam na nią zła, i miałam powód.

*IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY GDZIE KIEDY KOCHAM TWOJA CHRYSANTEMA*

W wiadomości pojawiło się słowo „kocham”.

Nigdy nie słyszałam od mamy takiego wyznania.

To jednak podstęp.

To było coś, czego zawsze od niej chciałam.

Albo wiadomość była fałszywa – ale kto ją zamieścił? – albo koniec końców w sercu mamy pojawiła się odrobina uczucia do córki.

Jeśli nie odpowiem, na zawsze będę tkwiła w niepewności.

A jeśli odpowiem, mogę narazić siebie i własną wolność za sprawą jednego ulotnego słówka.

Kiedy człowiek nie wie, co zrobić, ostrożność nakazywałaby nie robić nic, ale ja nie potrafię znieść takiej bezczynności, stąd moje upodobanie do wędrowania nocą. Pozbawiona tej odskoczni, o świcie, po niemal bezsennej nocy wstałam, by przygotować się do wyjścia, chociaż nie miałam pojęcia, w jakim celu. Wbiłam się w gorset-pancerz-magazyn-bank, włożyłam kilka hulek, na to wciągnęłam suknię pełną marszczeń, falbanek i wstążeczek, w sam raz na paradowanie po mieście, po czym zajęłam się upiększaniem (innymi słowy całkowitym kamuflażem) swojego oblicza. W trakcie tych czynności mój umysł podsuwał mi w nieskończoność natrętne pytania: Czy szyfrowana wiadomość w istocie pochodziła od mojej mamy? Czy powinnam na nią odpowiedzieć? Jeśli tak, to co miałabym napisać? I kiedy?

Na razie, choć nie znosiłam niezdecydowania, postanowiłam czekać. Wiedziałam, że tak trzeba. Kiedy jedyny raz zwróciłam się do mamy o pomoc, kazała mi czekać – i czekać – i jeszcze dłużej czekać; doprawdy nie odpisała mi wcale. Poczułam się tak dotknięta, że chyba nie powinnam się z nią spotykać, póki nie wezmę w ryzy swoich emocji, żeby nie wypowiedzieć w rozmowie słów, których bym później żałowała. Ale jeśli teraz uczciwie i szczerze wyciąga do mnie rękę, a ja jej nie odpowiem... A może jest chora i zostało jej niewiele czasu? Gdyby była to ostatnia moja szansa na pojednanie?

Bzdura. Gdyby mama leżała teraz na łożu śmierci, to z pewnością nie prosiłaby mnie o wskazanie czasu i miejsca spotkania!

Ale...

Ale to... ale tamto... myśli krążyły mi po głowie jak wół w kieracie, aż w końcu zatrzymały się znużone ruchem po jednym torze. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam o zaginionym doktorze Watsonie, opuszczonej pani Watson i nadawcy nietuzinkowych bukietów obdarzonym zdejmowalnym nosem.

I nagle, kiedy przylepiałam sobie do skroni pieprzyk, z jakiejś ukrytej w piwnicach mojej pamięci kuchni wyjechało na srebrnej tacy olśnienie, odpowiadając na moje niewyrażone do końca pytanie z poprzedniego dnia. Co robią panowie z twarzą oszpeconą w walce, by poprawić wygląd albo ukryć defekt? Jak winda kuchenna otwierająca się, by ukazać tacę pełną eklerek, zdrowy rozsądek podsunął mi odpowiedź. Skoro ktoś jest w takiej potrzebie, może sobie obstałować sztuczny nos, ucho czy inną część ciała wykonaną realistycznie z gumy o cielistej barwie. Tylko gdzie można coś takiego kupić? Z pewnością w jednym ze sklepów oferujących kit do modelowania twarzy, sztuczne łysiny i inne tego rodzaju teatralne rekwizyty. Może nawet w tym samym sklepie, w którym zaopatrzyłam się w pieprzyk i perukę.

U Perteloty.

Dawniej Pod Chaunticleerem.

Wybawienie! Musiałam się czymś zająć, więc się tam wybiorę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzeba przyznać okrągłolicej właścicielce, że nie zachnęła się ani nie wykrzyknęła ze zdumienia, kiedy przekroczyłam próg sklepu U Perteloty. Rzuciła mi tylko spojrzenie i zamruczała:

– Mój Boże. Wielkie nieba, wspaniale się pani odmieniła. Moje gratulacje, panno... aaa... Everseau.

Czyli rozpoznała perukę i pieprzyk, zapamiętała też mój nieatrakcyjny wygląd, kiedy robiłam u niej zakupy. Przypomniała sobie nawet nazwisko, które mi wydrukowała na wizytówkach.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się.

Kobiecina wiedziała, że podałam jej nieprawdziwe personalia i nie jestem osobą, na którą się upozowałam, jednak nie usłyszałam w jej głosie ani kpiny, ani potępienia, ani chytrego zrozumienia. Pobrzmiwała w nim przyjazna dyskrecja, można nawet powiedzieć, że matczyna...

*Jakby matkowała mi moja własna rodzicielka.*

*Nie myśl o mamie.*

– Czym mogę dziś pani służyć?

Z lekkim trudem uspokoiłam myśli, by przystąpić do realizacji zamierzonego planu polegającego na wyciągnięciu od Perteloty potrzebnych mi informacji, ale tak, by się nie zorientowała. Musiałam więc udawać, że przyszedłam tu w zupełnie innym celu.

– Hiszpańskie płatki – zamruczałam – jak na mój gust dają nazbyt wyzywający efekt. Może ma pani coś innego...

– Oczywiście. Tędy.

Zaprowadziła mnie do oddzielonej parawanem alkowy na tyłach sklepu, gdzie zademonstrowała mi całe mnóstwo niezwykłych substancji – płynów, maści i proszków – służących do dyskretnego podkreślenia oczu. Krople nadające im blask. Przedłużacz do rzęs pozwalający uniknąć doklejania tandetnych sztuczności. Błyszczyki do powiek i brwi, cienie i pastelowe farбки.

– Tajemnica polega na tym – tłumaczyła Pertelota – by użyć tylko odrobiny. Wszystkie zabiegi pójdą na marne, jeśli będzie widać, że coś poprawiałyśmy.

Siedziałam przed dobrze oświetlonym lustrem na prześlicznym krzeselku obciążonym koronkową narzutką i nakładałam na twarz cudotwórcze specyfiki zgodnie ze wskazówkami właścicielki.

– Fascynujące! – zawołałam.

– W rzeczy samej.

– Czy takie preparaty są używane w teatrze?

– Nie, efekt jest zbyt subtelny jak na potrzeby sceny. To raczej tajemny arsenał upiększający, panno Everseau. Ukrywają go w szufladach toaletek hrabiny, księżne, a nawet królowe.

Była to, rzecz jasna, bujda, lecz omal w nią nie uwierzyłam. Nie otrząsnąwszy się jeszcze z oszołomienia, spjrzałam na pospolitą twarz o grubo ciosanych rysach, okoloną upiętymi siwymi włosami.

– Czuję się wyróżniona. Ale jak pani na to wszystko trafiła?

– To mój fach.

– A dlaczego go pani sobie wybrała?

– Pyta pani, jak ktoś szpetny jak noc może się zajmować sekretami piękna? – Wypowiedziała te szokująco szczerze słowa z uśmiechem, w którym nie było cienia goryczy, a jedynie rozbawienie. – Ironia losu, prawda?

Jej niewiarygodna prostolinijność wzbudziła we mnie zachwyt i zafrapowała jednocześnie.

– Nie to miałam na myśli – rzekłam otwarcie. – Pytam, jak to się stało, że kobieta zajęła się handlem tak osobliwym towarem.

Zauważyłam, że się zawahała – co dziwiło u tak bezpretensjonalnej osoby – zanim udzieliła mi odpowiedzi.

– To był sklep mojego męża.

– Ach, pan Chaunticleer to pani mąż?

Nikt obdarzony nawet najbujniejszą wyobraźnią nie mógł nadać człowiekowi takiego imienia. Myślę, że dlatego skwitowała pytanie kpiącym uśmiechem.

– Czyżby był aktorem albo pracownikiem teatru? – drażylałam.

– Nie, skądże znowu. – Wydawała się coraz mniej skłonna do udzielania mi wyjaśnień.

– Domyślam się, że opuścił już ten świat? – Byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby wdowa objęła sklep po zmarłym.

– Nie, po prostu przestał pracować.

W jej głosie zabrzmiał ton znamionujący zniecierpliwienie moją dociekliwością, lecz nie dałam za wygraną.

– Naprawdę? Pewnie jest z tego zadowolony – świergotałam. – A czemu poświęca teraz wolny czas?

– Siedzi ciągiem w tej swojej ukochanej cieplarni – rzuciła ostrym tonem, jakby co najmniej zabijał dla przyjemności szczenięta.

Cieplarnia?

Przyszłam tu z zamiarem wybadania, czy ma jakichś klientów płci męskiej, którzy zamawiali u niej sztuczne nosy, a dowiedziałam się, że jej mąż hoduje – być może paskudne – rośliny.

– Nie jest pani zwolenniczką cieplarni? – spytałam potulnie.

– Nie jestem zwolenniczką męża – stwierdziła ponuro, ale z tak rozbrajającą prostodusznością, że obie się roześmiałyśmy. – Czy chciałaby pani wypróbować najnowsze środki do uwydatniania warg, panno Everseau? – zmieniła temat.

Chcąc ją udobruchać, nałożyłam odrobinę różanej pomady na usta, a następnie zakupiłam nieco „tajemnego arsenału”, i to na całkiem okazałą sumę, licząc na to, że zyskam jej przychylność. Kiedy wszystko zostało już spakowane w brązowy papier, umieściłam nowe nabytki w torbie na zakupy. Opuszczając królestwo Perteloty, przystanęłam na progu. Uznałam, że skoro nie udało mi się naprowadzić rozmowy na planowane tory, trzeba zadać pytanie wprost. Teraz albo nigdy.

– Jestem ciekawa – zaczęłam niewinnym tonem – czy miała pani kiedyś okazję, pani... ee... – zawiesiłam głos, czekając, aż poda mi swoje nazwisko.

– Kippersalt – odpowiedziała z ociąganiem.

– Pani Kippersalt, czy miała pani okazję zaopatrywać w sztuczne uszy albo palce osoby, które straciły własne? – Pokiwała głową i już miała z dumą potwierdzić, ale uprzedziłam ją: – Albo na przykład sztuczny nos?

Kiwanie głową nagle ustało, a w głosie pojawił się ostry ton:

– Dlaczego pani pyta?

– Mój znajomy miał niezwykle ciekawe, acz nieco ambarasujące spotkanie z mężczyzną, któremu odpadł gumowy nos – wyjaśniłam. – Ciekawi mnie...

– Co znów ta łajza zmalowała? – wybuchnęła.

Interesujące!

– Kto? – spytałam.

– Mniejsza z tym. – Uśmiech ustąpił miejsca grymasowi niezadowolenia, a ja uświadomiłam sobie nagle, że kobieta jest grubokoścista i krzepka. Musiałam zmobilizować całą swoją siłę woli, żeby się od niej nie odsunąć. Matczyna życzliwość przerodziła się w złość.

– Czego tu węszy? – spytała z cockneyowskim akcentem, opierając pięści o obfite biodra, i zmierzyła mnie ponurym wzrokiem. – Coś panna za jedna? Ja się przedstawiłam, teraz czas na pannicę. – Milczałam, więc wrzasnęła: – Nic tu po niej! Niech się stąd zabiera i więcej nie przyłazi!

Nie oponowałam i wyszłam ze sklepu w stanie pobudzenia umysłowego. Bądź co bądź wybrałam się do Perteloty – pani Kippersalt, poprawiłam się, Kippersalt; muszę zapamiętać to nazwisko – wybrałam się tam tylko po to, by wybać, czy mężczyzna pozbawiony nosa mógłby nosić gumową protezę, a jeśli tak, to czy spotkała się z takimi przypadkami.

Cóż. Najwyraźniej tak, i nie było to dla niej przyjemne. Lecz co mogę z tą wiedzą zrobić?

Szłam Holywell Street, trawiona chęcią, by gdzieś przysiąść i wszystko to przemyśleć, może wspomagając się rysowaniem, jednak nie mogłam się zatrzymać. Przeciwnie, musiałam przyspieszyć kroku, ponieważ mimo zaaferowania zauważyłam, że budzę zainteresowanie licznej grupy panów. Niektórzy z frantów snujących się przy sklepach z rycinami próbowali mnie zaczepiać. Co gorsza, podążał za mną jakiś nygus... nie, dwóch! Co, na miłość boską...

I wtedy przypomniałam sobie, że nie starłam z twarzy rozlicznych pomadek, różów, cieni, błyszczyków, przedłużaczy rzęs i tym podobnych wynalazków wypróbowywanych w ukrytej alkwie Perteloty.

Mężczyźni to jednak nieskomplikowane stworzenia. Im więcej sztuczności, tym bardziej... Co za imbecyle, że dają się omamić peruce, fałszywym krągłościom i odrobinie kolorków. Czyżbym stała się aż nazbyt zachwycająca?

Uciekając z Holywell Street, dotarłam w końcu do szerszych chodników Strandu i zaczęłam się rozglądać za jakimś azylem. I wówczas usłyszałam znajomy głos gazeciarza krzyczącego z cockneyowskim zaśpiewem: Gazeeta! Gazeeta! Podeszłam do niego, wrzuciłam pensa do nadstawionej czapki i wzięłam egzemplarz dziennika, który natychmiast rozłożyłam. Wreszcie miałam osłonę i mogłam przystanąć.

Siłą woli uspokoiłam oddech i sięgnęłam po sprawdzone w trudnych chwilach remedium: przywołałam w pamięci obraz matki oraz jakże często wypowiedane przez nią zdanie: „Enolu, doskonale sobie poradzisz sama”. Tym razem jednak myśl o mamie zamiast uspokoić, przyprawiła mnie o skurcz serca. Czy wiadomość o treści: IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY GDZIE KIEDY KOCHAM TWOJA CHRYZANTEMA, na którą nie odpowiedziałam, pochodziła od niej, czy też nie?

Zbyt wiele palących kwestii. Co robić w sprawie mamy? Co myśleć o dziwnym zachowaniu pani Kippersalt? Jakie kroki podjąć, by dotrzeć do zaginionego doktora Watsona? Przebiegłam wzrokiem dział ogłoszeń, szukając odpowiedzi na wiadomość: „Głóg, powój, maki i szparag” i znalazłam ją, choć wcale mnie to nie ucieszyło:

„M.M.W.: Wilcza jagoda. Dziękuję Ci-s”.

Niezbyt to pomocne. Raczej przerażające.

Pokrzyk wilcza jagoda, dziko rosnący krzew o pięknych kwiatach i trujących owocach, nie był wymieniany w leksykonach dotyczących kompozycji kwiatowych. Co więcej, był złowieszczy nawet z nazwy. Prześmiewczo wykorzystana nazwa cisu, tego cmentarnego symbolu, stawiała sprawę jasno: była to groźba śmierci i zapewne dotyczyła biednego doktora Watsona.

Wielkie nieba, muszę coś zrobić, tylko co? Stałam nieruchomo za tarczą gazety, usiłując zebrać myśli, choć sformułowanie jakiegokolwiek sensownego planu wydawało mi się niemożliwe. I nagle, kącikiem oka dostrzegłam stojących w pobliżu dwóch przedstawicieli męskiego rodu obrzucających mnie lepkimi spojrzeniami. Wiedziałam, że ruszą za mną. Wciąż nie mogłam się pogodzić z faktem, że większość osobników płci przeciwnej to skończeni durnie. A jednak doświadczenie kazało mi uznać, że na widok ładnej kobiety panowie zamieniają się w osły. Weźmy choćby to, że urzędnicy z redakcji gazet zmienili swój stosunek do mnie, kiedy...

I nagle spłynęło na mnie olśnienie. Aż otworzyłam szeroko oczy.

Urzędnicy.

Redakcje gazet.

Hmm. Ryzyko – ponieważ brakowało mi doświadczenia w damskiej sztuce flirtu – ale warte zachodu. Nie miałam nic do stracenia.

Złożyłam gazetę i wepchnęłam ją do siatkowej torby, w której niosłam nowo nabyte mazidła, i ruszyłam w stronę najbliższego postoju dorożek, nie bacząc na sunących za mną natrętów. Wybrałam pojazd czterokołowy, w którym mogłam się schować przed spojrzeniami, i kazałam się zawieźć na Fleet Street.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Siedziałam w dorożce i układałam w myślach plan. Cel mojej wyprawy był dwojaki: poznać rysopis, jeśli nie tożsamość, osoby, która zamieściła tekst „Wilcza jagoda, dziękuję Ci-s”, oraz wy badać, czy rzeczywiście wiadomość o „pragnieniu jemioly” przysłała mi mama.

Uznałam, że dam pierwszeństwo sprawie złowieszczych bukietów, ponieważ życie doktora Watsona mogło być zagrożone. Na decyzję wpłynął też inny, bardziej egoistyczny powód. Zakładając, że tekst „Wilcza jagoda, dziękuję Ci-s” został opublikowany we wszystkich gazetach, miałam kilka możliwości sprawdzenia, kto go zamieścił. Jednak anons 422555 itd. (IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY) ukazał się jedynie w „Pall Mall Gazette”, więc muszę wiedzieć, na czym stoję, zanim zjawię się w redakcji.

W odosobnieniu, które zapewniła mi dorożka, wyciągnęłam zza gorsu nożyczki, by wyciąć ogłoszenie z gazety, a następnie się jej pozbyć. Po chwili, znalazłszy się na najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu Fleet Street (pragnęłam pozostać niezauważona), zastukałam w dach pojazdu, by woźnica się zatrzymał. Zapłaciłam mu, po czym weszłam do najbliższej redakcji (akurat był to „Daily Telegraph”), po czym zbliżyłam się do biurka, za którym młody człowiek z gatunku „elegancików” bawił się piórem i bibułą.

– Przepraszam – wysepleniał najbardziej subtelnym głosem, na jaki mogłam się zdobyć.

Młodzieniec spojrział na mnie obojętnie, ale już po chwili olśniła go moja uroda i znieruchomiał jak pies myśliwski, który zwietrzył zwierzynę.

– Czy nie pamięta pan może, kto zamieścił to ogłoszenie? – zagruchałam i pokazałam mu wycinek.

– Ja... hmm... – Zapoznanie się z treścią kosztowało go sporo wysiłku, bo nie przestawał się na mnie gapić. – „Wilcza jagoda, dziękuję Ci-s”. No tak, to dość kuriozalna sprawa. Zdaje się, że pamiętam...

– Nie udzielamy podobnych informacji – przerwał mu oschły żeński głos. Spojrzałam w górę i zauważyłam starszą kobietę w sztywnej od krochmalu bombazynie<sup>[3]</sup>, prawdopodobnie jego przełożoną. Patrzyła gniewnie na swojego podwładnego, jednak mówiła do mnie, karcąc mnie jak uczennicę. – Czy gdyby zamierzała pani zamieścić podobny anons, nie chciałaby pani pozostać anonimowa?

Odebrałam wycinek z rąk nieszczęsnej urzędniczyny, obróciłam się na pięcie i wyszłam z tak wielką godnością, na jaką było mnie stać. No to „Daily Telegraph” mam z głowy.

Udałam się do kolejnej redakcji.

Dzień okazał się wyjątkowo męczący. Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi pełnego sprawozdania z moich niepowodzeń i chwil bliskich triumfu, ograniczając się do stwierdzenia, że panowie traktowali mnie życzliwie, a panie – wręcz przeciwnie. Udało mi się uzyskać szczątkowe informacje, kiedy w pobliżu nie kręciła się osoba mojej płci. W dwóch przypadkach młodzi mężczyźni – nie mogę powiedzieć „dżentelmeni” – zasugerowali w zamian zawarcie bliższej znajomości. Czułam się zniesmaczona, wyciągając od nich strzępki informacji, jednak mimo panińskiego zgorszenia koniec końców byłam zadowolona z efektów. Ich opisy były zgodne. Anons z wilczą jagodą, jak twierdzili obaj, zamieścił osobliwy jegomość z siwą kozią bródką i w cylindrze na głowie (choć daleko mu było do wyższych sfer), który miał zapewne tuszować niedobory wzrostu. Był to bowiem człowiek niski, kościsty i ogólnie odstręczający. Dociekając, co poza karłowatym wzrostem wzbudzało w nich taką odrazę, dowiedziałam się od jednego z panów, że osobnik cechował się truposzowatym wyglądem. „Jakby był chory na trąd” – dopowiedział drugi. Zapytany, o co mu chodzi, nie bardzo umiał wyjaśnić, jednak stwierdził, że człowiek ów miał coś dziwnego w twarzy.

– Wyglądał jak kukła zrobiona z wosku, jeśli pani takową widziała.

Doszłam do wniosku, iż istnieje możliwość, że obaj opisują mi „jeleganta ze szczecina na brodzie i w cylindrze, który zdjął sobie kinol”, scharakteryzowanego przez małego ulicznika. Osobnika z zamocowanym w twarzy sztucznym nosem, który maskował miejsce łączenia kitem modelującym,

stał niepokojący odcień skóry, jej dziwna faktura i sztywność.

Uzyskane informacje uprawniały mnie do wniosku, że nadawca złowieszczych bukietów odpowiedział na mój anons. Ucieszyłam się, że zweryfikowałam jego istnienie, ale jednocześnie byłam w kropce, bo jak mam trafić na ślad tej nader frapującej postaci.

Nie miałam pojęcia.

Chyba że Pertelota, alias pani Kippersalt, coś na ten temat wie, sądząc po dziwnej reakcji na moje pytanie. Krzyknęła: „Co znowu ta łajza zmalowała?”, a potem wyprosiła mnie ze sklepu.

Hmm.

Bardzo chciałam się dowiedzieć, gdzie mieszkają państwo Kippersaltowie i czy pan Kippersalt uprawia w swojej cieplarni glóg. A jeszcze bardziej chciałam zobaczyć go na własne oczy i sprawdzić, czy jego twarz można określić jako końską, truposzowatą, toczoną przez trąd, woskową itd.

Czy mogłabym go odszukać, śledząc panią Kippersalt udającą się do domu?

Nie, po krótkim zastanowieniu uznałam, że to niezbyt dobry pomysł. O tej porze roku, kiedy zamykano sklepy, było jeszcze w miarę widno, więc gdyby pani Kippersalt mnie dostrzegła, z pewnością by mnie rozpoznała, jako że widywała mnie już w różnych wcieleniach. Zresztą nie miałam ochoty na ponowne bycie czyimś cieniem. Kiedy ostatnim razem szłam środkiem ulicy, by nie oświetlał mnie blask latarni, omal nie zostałam stratowana przez konia rasy Clydesdale ciągnącego wóz z drewnem.

Nie, musiałam znaleźć inny sposób na wytropienie pana Kippersalta.

Kippersalt – dość rzadkie nazwisko. Ustalenie miejsca zamieszkania byłoby w miarę proste, gdyby tylko Londyn był sensownie zarządzanym miastem, ale nie był. Największa metropolia na Ziemi miała także najgorszych włodarzy świata. Organizacja – a raczej dezorganizacja – administracyjna stolicy polegała na podzieleniu jej na ponad dwieście gmin, z których każda miała osobny rejestr mieszkańców, własnego poborcę podatków, własną policję itp.

A jednak, można chyba założyć, że Kippersaltowie mieszkają nieopodal sklepu, co było powszechną praktyką wśród starszych wiekiem sklepikarzy. Dopiero później londyńskie metro umożliwiło dowóz mieszkańców przedmieść do pracy w City. Jeśli Kippersaltowie mieszkali przy Holywell Street albo w jej najbliższej okolicy, wystarczy, że odwiedzę dwa lub trzy urzędy gminne i zdobędę potrzebne informacje.

Zaabsorbowana tymi rozmyślaniami ruszyłam ponownie w stronę Fleet Street do „Pall Mall Gazette”, jedynej redakcji, której tego dnia jeszcze nie odwiedziłam. Po przekroczeniu progu jej siedziby poczułam ukłucie w sercu, gdyż za biurkiem siedziała sztywna i surowa stara panna.

Musiałam jednak spróbować. Na parapecie leżały wydania gazety z kilku poprzednich dni. Moje głupiutkie serce waliło pod ukrytym w gorsecie sztylcikiem. Dość szybko udało mi się odszukać stosowny egzemplarz, w którym w dziale ogłoszeń drobnych wydrukowano: 422555 14341122434251434251 52513342532355 2241654251 1342514155 135331321133 5445535211 3132345565114354513311 (IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY GDZIE KIEDY KOCHAM TWOJA CHRYZANTEMA).

Podeszłam do chudej jak szczapa urzędniczki i wskazując palcem na anons, spytałam, a raczej odezwałam się błagalnie:

– Czy może mi pani powiedzieć, kto to zamieścił?

– Nie mogę – odburknęła.

Nie może czy nie chce? Sprawiała wrażenie dziewiczej władczynie małego królestwa, osoby wszechwiedzącej.

Spróbowałam szczęścia po raz kolejny.

– A czy mogłaby mi pani chociaż powiedzieć, czy była to kobieta, czy mężczyzna?

Jeśli kobieta, to z pewnością była mama. I na samą myśl przeszył mnie zimny dreszcz. Gdyby nawet tak było, wciąż nie wiedziałabym, co zamieścić w odpowiedzi.

– Nie udzielam takich informacji – warknęła stara panna zza biurka.

Zaoferowałam łapówkę, co wzbudziło w niej wściekłość. Mimo to jeszcze przez kilka minut nie

dawałam za wygraną. Dopiero kiedy zagroziła wezwaniem policji, opuściłam redakcję.

No i dobrze. Zrobiłam, co mogłam.

Mimo że jakiś niewidzialny kucharz pichcił w moim sercu przedziwną mieszaninę emocji – czy fakt, że niczego się nie dowiedziałam, przyprawił mnie o rozpacz, czy przyniósł ulgę? – postanowiłam chwilowo zapomnieć o tej sprawie. Na rozwiązanie czekały bowiem bardziej palące kwestie.

Złowieszcze „dziękuję Ci-s”.

Kilka godzin później wróciłam w skromne progi domostwa wielce skołowanej pani Tupper, która aż zamrużyła z wrażenia na mój widok.

– Panno Meshle – spytała niepewnie – może podać kolacyjkę?

– Nie, dziękuję, pani Tupper. – Spieszyłam się, by wskoczyć w ciemne, nierzucające się w oczy ubranie. – Nie mam czasu. – Nie wpłynęło to pozytywnie na mój humor, ponieważ czułam się pusta jak bęben. Obiadu też nie jadłam.

– Hę? – Przygłucha starowina przytknęła do ucha trąbkę.

– Nie! Dziękuję! Pani Tupper! – Choć raz konieczność podniesienia na nią głosu nie była uciążliwością, ale pozwoliła mi rozładować frustrację. Nogi bolały mnie okrutnie po bieganinie od redakcji do redakcji na Fleet Street i po odwiedzinach w ośmiu – nie, dziesięciu chyba, straciłam już rachubę – urzędach, w których nie udało mi się potwierdzić istnienia jakiegokolwiek Kippersalta, poza niejakim Augustusem, który został umieszczony w szpitalu dla obłąkanych Colney Hatch. To z pewnością nie poszukiwany przeze mnie człowiek. Doprawdy, ten dzień był wyjątkowo wyczerpujący.

Jedynym wyjściem – mimo wszystko – był powrót pod sklep U Perteloty w porze zamykania okiennic przez nerwową, przerośniętą ludzką kwokę. A potem podążenie za nią, by sprawdzić, dokąd się uda.

Pokuśtykałam na górę do swojego pokoiku i wyzwoliłam zbolące stopy z uścisku niefortunnie modnych botków. Zerwałam z głowy perukę i ściągnęłam suknię z brzoskwiniowej tafty, zdobionej białymi kokardkami, w żadnym razie nienadającą się do czatowania w cieniu. Następnie wyciągnęłam z szafy ciemną zwyczajną bluzkę z welenki i takąż spódnicę. Wsunęłam na pokryte bąblami stopy grube skarpety i wzułam swoje ukochane czarne buciory. Nie mając czasu na zmycie „arsenału upiększającego”, umazałam twarz sadzą z kominka. Przekształciwszy się tym samym w zwykłą Sally z sąsiedztwa, ukryłam w gorsecie najdłuższy z posiadanych sztyletów, zarzuciłam na głowę stary czarny szal i zbiegłam na dół. Otwierając drzwi, czułam na sobie zbaraniałe spojrzenie pani Tupper.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dorożka! – krzyknęłam władczo przy pierwszej sposobności.

Woźnica, choć sam nie był lwem salonowym, obejrzał się z niedowierzaniem na zatrzymującą go mieszkankę slumsów.

– Do mnie gadasz?

Rzuciłam mu złotą monetę, która natychmiast uciszyła jego wątpliwości i sprzeciwy.

– Strand na wysokości St. Mary's – oznajmiłam, pnąc się po stopniu do środka. Było to skrzyżowanie leżące w pobliżu Holywell Street; nie może przecież wiedzieć, dokąd się udaję. – I dostaniesz pan jeszcze jednego suwerena, jeśli zajadę tam w dziesięć minut.

– Tak, psze pani! – Zastrzyk gotówki czynił w pewnych sytuacjach jeszcze większe wrażenie niż olśniewająca uroda i od razu budził szacunek. – Już się robi. Ja i mój stary Konduktor zawieziemy panią na miejsce. – Ciął batem zad konia o grubej szyi, zmuszając go do szybkiego klusu, a ja odganiałam z pamięci wspomnienia z lektury *Czarnego Księcia*. Usiadłam, zapałam się mocno plecami, żeby nie rzucało mną na boki, i uspokoiłam rozgorączkowany umysł, każąc mu rozważyć czekające mnie ewentualności.

Nie znosiłam impulsywnego angażowania się w niewiadome w skutkach przedsięwzięcia, czułam jednak, że muszę wykorzystać okazję. Wybuch złości Perteloty... przepraszam, pani Kippersalt... zapowiadał okazję, która może się już nie powtórzyć.

Uznałam więc, że koniec końców zostanę jej cieniem w drodze do domu, ponieważ czułam, że jej kipiąca złość znajdzie tam ujście w postaci ataku na męża: – Coś ty znowu zmalował? – I chciałam, choć nie bardzo jeszcze wiedziałam, jakim sposobem, usłyszeć jego odpowiedź.

Co więcej, pragnęłam się przyjrzeć panu Kippersaltowi. Spędziłam mnóstwo czasu, snując wyobrażenia na temat jego wyglądu. Gdy ujrzę go na własne oczy, będę mogła potwierdzić bądź odrzucić swoje hipotezy. A były one następujące.

Załóżmy, że dany mężczyzna zostaje trwale oszpecony utratą nosa, a może i czegoś więcej, wskutek nieszczęśliwego wypadku lub działań wojennych.

Załóżmy, że szukając sposobów na ukrycie powstałych defektów, staje się ekspertem w dziedzinie kitu do modelowania twarzy, gumowych atrap części ciała i tym podobnych wyrobów. Czy mógłby otworzyć sklep specjalizujący się w tego typu asortymencie, choćby tylko po to, by móc je bez przeszkód wykorzystywać na własne potrzeby?

Czy będąc mężczyzną pozbawionym urody, mógłby, w celu zapewnienia sobie gospodyni i tak dalej, ożenić się z wyjątkowo nieciekawą osobą o nikłych szansach na zamążpójście?

Może z przedsiębiorczą niewiastą z nizin społecznych i cockneyowskim akcentem?

Czy ta ambitna, niezwykła kobieta, poślubiwszy go nie z miłości, lecz dla awansu społecznego, mogłaby wyrobić się na tyle, by przejąć zarządzanie sklepem?

Czy mąż nie poczułby się dotknięty odstawieniem na boczny tor? Dotknięty do tego stopnia, że...

Że co? Że postanowił się zemścić na doktorze Watsonie?

Jaki mógłby mieć żal do Watsona?

Ale powoli. Może obwinił go o utratę narządu powonienia? Może wydarzyło się to podczas drugiej wojny afgańskiej, kiedy Watson pełnił obowiązki wojskowego chirurga? Może to właśnie Watson dokonał amputacji uszkodzonego nosa?

*Genialna myśl* – gratulowałam sobie w duchu, ciesząc się, że wpadłam na tak prawdopodobne rozwiązanie.

Rozpędzona, rozkołysana, wykonująca nagłe skręty dorożka zatrzymała się we wskazanym przeze mnie miejscu. Wskoczyłam, zanim jeszcze zatrzymały się koła, i od razu rzuciłam się do biegu, ciskając suwerena dorożkarzowi. Nie miałam zegarka, nie mogłam więc sprawdzić, czy dowiózł mnie na czas.

Okazało się, że dowiózł.



Dyszac ciężko, wysunęłam głowę zza węgła jednego z domów przy Holywell Street. Zdążyłam w samą porę, ponieważ pani Kippersalt zamykała właśnie ostatnie okiennice, chroniące nocą witryny jej sklepu. Po chwili weszła do środka, żeby zabezpieczyć je od wewnątrz zasuwkami.

Promienie słońca, błogosławionego jasnego słońca, będącego w Londynie tak rzadkim gościem, muskały jeszcze strzeliste dachy stłoczonych jeden przy drugim starych budynków. Przyczałam się, obserwując drzwi. Spodziewałam się, że lada chwila ukaże się w nich właścicielka w płaszczu, kapeluszu i rękawiczkach, z parasolką w dłoni, zamykająca ostatnie zamki przed powrotem do domu.

Dzień ustąpił zmierzchowi, a ja wciąż czekałam.

Pani Kippersalt nie wychodziła.

Co też mogło się z nią stać? A może – o wielkie nieba, oby nie! – wyszła tylnymi drzwiami?

Było to jednak mało prawdopodobne, ponieważ Holywell Street wiała się na skraju najgęściej zaludnionego i zabudowanego skupiska ludzkiego. W stłoczonych obok siebie ruderach gnieździły się rzesze dotkniętych skrajną nędzą mieszkańców. Przejścia między zabudowaniami przypominały tunele. Wyższe kondygnacje chylących się ku upadkowi kamienic niemal stykały się ze sobą, tworząc przesmyki nie szersze od rynsztoków, pogrążone w mroku i nie czystsze niż wspomniane rynsztoki, gdzie aż się roiło od biedoty. Nie przypuszczam, by pani Kippersalt zechciała się zapuścić samotnie w ten naziemny kanał ściekowy, chyba że byłaby spragniona towarzystwa Kuby Rozpruwacza lub innych panów i pań dzielających jego zamiłowania.

Ale przecież nie mogła wymknąć się drzwiami frontowymi niezauważona przeze mnie.

Z każdą chwilą narastało we mnie przekonanie, że jednak to zrobiła, a ja okazałam się głupią gęsią. Ja, osoba, która miała czelność mienić się perdytorystką. Nie, byłam tylko podlotkiem, który powinien wycinać z zadrukowanych arkuszy papierowe lalki, powtarzałam sobie z rozpaczą, gdy wokół mnie gęstniał mrok. W oknach wyższych kondygnacji zaczęły rozbłyskiwać światła, jednak nie ułatwiało mi to sprawy. Ciemność pogłębiała się jeszcze bardziej, ponieważ stojące tam od niepamiętnych czasów budynki przypominały podmyty przez morze klif. Ich wyższe kondygnacje coraz bardziej wystawały ponad parter. Co piętro wykuszowe okna i okapy wysuwały się na wspornikach coraz dalej, sprawiając wrażenie, że domy te postawiono do góry nogami, szerzej u góry niż u podstawy. Wydawało się, że w każdej chwili mogą runąć.

Tak jak mój mały, niespokojny, wymyślony przeze mnie świątek. Próbowałam działać, szukać zaginionych i z jakim efektem? Stałam teraz w ciemnościach, sama, odrzucona przez rodzoną matkę, gotowa rozplakać się żałośnie jak zagubione kociątko...

Na pierwszym piętrze budynku mieszczącego sklep U Perteloty rozbłysło światło. No tak, rozjaśniło mi się w głowie. Przerwałam swoje melodramatyczne rozważania i już po chwili, porzuciwszy daremne żale i kryjówkę, przebiegłam na drugą stronę ulicy – opustoszałej po zamknięciu witryn sklepowych – i potruchtałam pod dom Perteloty.

Jeśli to właśnie ona weszła do pomieszczenia wysuniętego ponad chodnik piętra, pod którym wisiał drewniany rzeźbiony szyld przedstawiający koguta, jeśli tak właśnie było... że też nie pomyślałam o tym wcześniej! Przecież może mieszkać nad sklepem.

Musiałam to sprawdzić.

I to szybko, jako że do moich uszu dobiegły odgłosy kłótni. Tak, niewątpliwie słyszałam nad głową znany mi kontralt spierający się z kimś w wyjątkowo burzliwy sposób. Przez lekko uchylone okno docierało do mnie echo gniewnych głosów, ale nie byłam w stanie rozróżnić wykrzykiwanych słów.

Musiałam podejść bliżej. Tylko jak?

Po chwili zorientowałam się, co zrobić na początek. Trzema szybkimi susami dotarłam do pogrążonego w mroku, cuchnącego przesmyku oddzielającego kamienicę Perteloty od sąsiedniego domu. Podkasałam wysoko spódnicę, a potem wężowymi ruchami, zapierając się różnymi częściami ciała o obie ściany – niestety, poczucie przyzwoitości każe mi przemilczeć część szczegółów – dostałam się wyżej. Powiedzmy, że czułam się jak kominiarczyk wchodzący od dołu do przewodu kominowego.

Pokonawszy odległość około sześciu stóp, zdjęła mnie obawa, że jakiś zapóźniony przechodzień może spojrzeć w górę i dostrzec dziewczynę w wyjątkowo niecodziennej pozie.

Kiedy moja głowa znalazła się na wysokości oświetlonego okna, usłyszałam całkiem wyraźnie głos Perteloty.

– Uważasz mnie za idiotkę? Znowu coś knujesz i wymykasz się za moimi plecami z domu. Natychmiast gadaj, co znów wymyśliłaś!

– Nie słyszałaś? Załatwiam swoje własne sprawy.

Moment. Drugi głos, choć chrapliwy i niski, brzmiał niemal identycznie z pierwszym. Dwie kobiety. Kim jest ta druga? I gdzie się podział mąż Perteloty?

– Niczego nie musisz załatwiać! Masz siedzieć w domu i nikomu więcej nie bruździć – besztala nieznaną mi osobę Pertelota.

– Nikomu nie bruźdź. Załatwiłam tylko papiery, żeby go wsadzić tam, gdzie sam mnie wsadził. Już tam mu pięknie dogodzą.

Usłyszałam pełne oburzenia sapnięcie, a potem wrzask Perteloty:

– Jesteś szalona jak kapelusznik<sup>[4]</sup>. Mój mąż miał rację, że kazał cię zamknąć!

– Ale potem kazałaś mu mnie stamtąd wyciągnąć!

– Zamknij swoją podłą mordę, ty...

– Poleciałaś mu, żeby mnie wyciągnął – upierał się drugi damski głos. – Powiedziałaś, że możesz się mną opiekować w domu. Zawsze będziesz się mną opiekować, prawda, siostrzyczko?

Coś w jej głosie – i nie chodzi jedynie o jego irytujący ton, ale o coś innego, nieokreślonego – sprawiło, że zjeżyły mi się włoski na karku.

Dotarłam do granicy „komina”, czyli punktu, w którym łączyły się gzymsy budynków. Okno, z którego dobiegały głosy, znajdowało się nieco wyżej na ścianie od ulicy. Wszystko słyszałam, ale niczego nie widziałam.

Musiałam jednak tam zajrzeć. Zobaczyć tę drugą osobę, która powtarza co chwilę: „Zawsze będziesz się mną opiekować. Odpowiedz mi. Wiem, że zawsze będziesz się mną opiekować”.

Między mną a oknem biegł wiszący nad chodnikiem okap. Nad chodnikiem, który z tej perspektywy wydał mi się niezwykle twardy. Raczej niezachęcający do upadku z wysokości.

Jednak mimo wszystko...

Wciągnęłam w płuca głęboki haust powietrza, pochyliłam się nad mroczną czeluścią, chwyciłam oburącz zaokrągloną belkę wspornika i odepchnąwszy się nogami, opuściłam bezpieczne schronienie „komina”, z zamiarem wdrapania się na przeklęty okap.

Udało mi się przetrzucić na niego jedno kolano. Jednocześnie jedna ręka straciła chwyt.

Kolano, o czym natychmiast się przekonałam, nie reaguje ani tak szybko, ani tak sprawnie jak dłoń w podobnych okolicznościach. Ześlizgnęło się. Musiałam zebrać w sobie siłę woli, żeby nie wrzasnąć na całe gardło.

– Zawsze będziesz o mnie dbała, prawda, siostrzyczko? – Nie dawał za wygraną tajemniczy kontralt. – Powiedz to. Zawsze będziesz o mnie dbała.

A może ktoś by tak zadbał o mnie! Uchwyciwszy się ponownie gładkiej krawędzi belki, dźwignęłam się z siłą spotęgowaną przez panikę i zdołałam przenieść tułów ponad okap. Po chwili podciągnęłam nogi, a potem odturlałam się od krawędzi. Dysząc ciężko, odkryłam, że leżę na pochyłym gzymsie.

– Zawsze będziesz o mnie dbała – skandował fanatyczny głos, kiedy przywarłam do powierzchni, łapiąc oddech.

Byłam śmiertelnie przerażona, a brzmienie głosu nieznajomej potęgowało we mnie lęk. Każde słowo przeszywało mnie dreszczem. Nie tylko ze względu na brzmienie, lecz także na treść. *Zadbaj o mnie, zadbaj o mnie* – przecież sama w głębi serca pragnęłam, żeby rodzina otoczyła mnie opieką.

– Zawsze będziesz o mnie dbała, siostrzyczko, prawda? Powiedz to! Zawsze będziesz o mnie dbała.

– Oczywiście, że tak – warknęła w końcu Pertelota. – Przecież zawsze się tobą opiekowałam.

– Ale nie wtedy, kiedy pozwoliłaś, żeby szczury wgryzły mi się w twarz – odparowała triumfująco jej rozmówczyni.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Szczury. Wgryzły się. W twarz.

Gdyby powiedziała to chwilę wcześniej, zanim dotarłam do gzymsu, z całą pewnością straciłabym równowagę i spadła na chodnik, ponosząc śmierć na miejscu. Teraz rozpląszczyłam się jak wiewiórka na widok przelatującego w górze sokoła, rozdygotana, wczepiona palcami w dachówki, a myśli błędziły desperacko po jeszcze większych stromiznach.

– To było czterdzieści lat temu. – W głosie Perteloty pobrzmiwało znużenie.

– Czterdzieści dwa – poprawiła ją z rozżaleniem druga z kobiet.

W jej rozgoryczeniu rozpoznałam ze zgrozą coś, z czym mogłam się utożsamić. Tak, ja też długo chowałam urazę.

*Matka. Mama.*

Już dawno wybaczyłam jej to, że opuściła dom, była przecież wolnym duchem. Zadbała o to, żebym nie pozostała bez środków do życia. Porozumiewałyśmy się szyfrem za pośrednictwem działu ogłoszeń drobnych w gazetach. Ale dwa miesiące temu, w jeden z najzimniejszych styczniowych dni, kiedy dopadło mnie zwątpienie, poprosiłam ją o spotkanie w Londynie. Wciąż bolało mnie to, że nie raczyła mi nawet odpowiedzieć.

– Miałam zaledwie pięć lat – odpowiedziała zgaszonym głosem Pertelota. – Zasnęłam.

– A ja byłam tylko niemowlęciem – przerwała jej druga. – Leżałam w kołysce, a ty dopuściłaś do tego, że oblażyły mnie szczury i odgryzły mi nos.

– Przestań, Floro.

Ale Flora nie przerwała monologu i ciągnęła bez chwili zawahania – ...i wargi, i większą część policzków.

– Przestań!

– ...a miałaś mnie pilnować.

Tak, ona też chciała być otoczona troską, gdy mieszkała pod jednym dachem z siostrą. Jakie to kojące móc mieszkać z siostrą. A ja nigdy nie miałam siostry. Jak...

Czy miałam zaraz dojść do wniosku, że zawsze marzyłam o siostrze?

*Nonsens, Enolu. Do tej chwili nigdy się nad tym nie zastanawiałaś.*

A jeśli chodzi o opiekę: miałam dwóch braci, nader chętnych do zadbania o mnie poprzez wytresowanie w talentach salonowych i przygotowanie do małżeństwa. I miałam też matkę, która zadbała o mnie, dając mi wolność i środki na to, bym zrobiła z sobą, co uważam za stosowne.

*Przestań się nad sobą użalać, Enolu Holmes. Doskonale sobie poradzisz sama.*

Ten wewnętrzny głos, miły, ale stanowczy należał do mnie, jednak poczułam się, jakby mama wciąż ze mną była. I w jednej chwili nieprzymuszenie wybaczyłam jej to, że jest taka, a nie inna.

Ogromny ciężar spadł mi z serca.

Tymczasem Flora biadoliła:

– Jesteś moją starszą siostrą i powinnaś mnie pilnować, ale ty wmawiasz mi, że nie krzyczałam na tyle głośno, żeby cię obudzić?

Jej lament już mnie nie przerażał, a raczej wywoływał irytację.

Ale mimo że Pertelota z pewnością wysłuchiwała tych słów wiele razy, dało się wyczuć, że sprawiają jej cierpienie.

– Na miłość boską, Floro, przestań! – zawołała zboliałym tonem. – Jesteś okrutna.

– Ale to ja jestem beznosa, siostruniu, nie ty.

Beznosa.

O mój Boże.

Przestałam się trząść i odkleiłam się od dachówek. Podniosłam głowę, ponieważ chciałam zobaczyć Florę. Umysł skupił się ponownie na bieżącej sytuacji. Uświadomiłam sobie, że moja genialna hipoteza o żołnierzu, któremu doktor Watson amputował nos, musi wylądować w koszu, mimo że złowieszcze bukiety przysyłał mężczyzna...

Czy aby na pewno? Musiałam się przekonać, czy Flora mogłaby uchodzić za mężczyznę.

Uniosłam się na kolanach i rękach i zaczęłam pełznąć w miarę bezszelestnie po gzymsie, przeklinając w duchu swoją spódnice utrudniającą przemieszczanie się na czworakach.

– Od śmierci mamy dbam o ciebie najlepiej, jak potrafię – przypomniała jej Pertelota.

Z pewnością była to prawda. Już podczas pierwszej rozmowy z Pertelotą zauważyłam, że lubi matkować innym. Wyglądało na to, że w bardzo młodym wieku musiała przejąć obowiązki opiekunki.

Kiedy znalazłam się tuż pod wykuszem z oknem, uniosłam powolutku głowę, żeby coś wreszcie zobaczyć. Początkowo nie było tego wiele. No tak, koronkowe firanki. Kiedy jednak przybliżyłam głowę do szyby, udało mi się dostrzec jak przez mgłę zarysy wnętrza. Był to ponury zapyziały pokój pełniący funkcję bawialni. Wzburzenie obu siostrz kazało im rozmawiać na stojąco. Pertelota stała plecami do mnie, opierając zaciśnięte pięści o bujne biodra, i częściowo zasłaniała mi Florę. Mogłam jedynie stwierdzić, że była grubokoścista jak jej siostra i podobnie jak ona ubrana w codzienną bluzkę i spódnice. Ale chociaż zakładałam, że twarz Flory jest równie duża i płaska, nie byłam w stanie dostrzec jej rysów.

Teraz Pertelota przejęła pałeczkę.

– Od tamtej pory przez całe życie staram ci się to wynagrodzić! – zawołała. – W każdej chwili! Zmusiłam męża do zajęcia się fachem, dzięki któremu mogłaś się pokazać światu!

– Chciałaś mnie wydać za męża, żeby się mnie pozbyć!

– Próbowалам zadbać o to, żeby ci się żyło szczęśliwie i godnie, ale nie, ty musiałaś przykleić sobie brodę i łązić w spodniach.

Och. Ojej. To ona wysyłała złowieszcze bukiety, nie mogło być inaczej. Pragnienie jak najszybszego obejrzenia jej rysów kazało mi przybliżyć twarz do szyby.

– ...włóczyć się po mieście, robiąc diabli wiedzą co – ciągnęła Pertelota z furią.

– Musiałam przecież grać twojego męża, nie?

– Nie! Nie pozwolisz mu odpoczywać w pokoju, jesteś podła i pełna nienawiści.

– A spróbuj wyglądać jak maskara. – O nieba, jak ta kobieta się nad sobą użalała. Ktoś ją powinien przywołać do porządku. – Mężczyźni przynajmniej wolno...

– ...sprzeczne z naturą. Ile razy ci mówiłam, żebyś siedziała w domu, kiedy pracuję? A tymczasem dochodzą mnie słuchy, że wciąż knujesz jakieś intrygi. Aż mnie korci, żeby i ciebie zamknąć w Colney Hatch.

Flora zaskrzeczała z wściekłości i rzuciła się ku siostrze. I wtedy zobaczyłam jej twarz w całej okazałości, chociaż wolałabym jej akurat w tej chwili nie oglądać, ponieważ wyrwała sobie nos i zaczęła nim wymachiwać w stronę siostry jak bronią.

– Spróbuj, a wtedy się przekonasz! Spróbuj! – Drugą ręką wydierała sobie z ust i policzków kawałki maskującego braku kitu. Jej twarz, a raczej to, co z niej zostało, przypominało kłębowisko ślimaków. – Pożałujesz! Ty i każdy doktorzyna, który podpisze ci papiery!

Prawie nic nie rozumiałam ze słów Flory, tak bardzo szokował mnie jej wygląd. Zamiast twarzy miała drgające mięso, zamiast ust i nosa ziejące dziury. A jej oczy... Nie nosiły śladów urazu, ale chyba już dawno zapomniały, jak ronić łzy, i błyszczała w nich żądza mordy. Wyraz jej oczu wstrząsnął mną równie mocno jak widok jej okaleczonej twarzy. Zapewne poruszyłam się albo wydałam jakiś dźwięk, ponieważ nagle wbiła rozbiegany i oszalały wzrok w okno. Przydybała mnie jak wielką głupią rybę zwabioną światłem pochodni pod powierzchnię nocnego jeziora.

Wrzasnęła, jakby zobaczyła... kłębowisko ślimaków, i wyciągnęła ku mnie palec.

Kiedy Pertelota odwróciła się, by spojrzeć we wskazanym kierunku, przywarłam do gzymsu.

Jedna z siostrz, nie wiem która, wykrzyknęła coś, co bardzo, ale to bardzo nie nadaje się do powtórzenia.

Uciekłam. Ale wąski gzyms ograniczał mi swobodę ruchów i nie mogłam wrócić po własnych śladach. Ruszyłam naprzód, za drugi węgiel budynku, nie wiedząc, co mnie tam czeka. Sunęłam chwiejnie na czworakach jak przerosnięta gąsienica i omal nie zleciałam na bruk przez krępującą mi nogi diabelną spódnice. Dochodzę do wniosku, że jedyną przyczyną zmuszania kobiet do noszenia

długich kiecek jest uniemożliwianie im robienia czegokolwiek sensownego.

Usłyszałam za plecami szcęk otwieranego okna oraz głos – jak się domyślam – Perteloty krzyczący z mocą godną całej sfory psów: „Policja! Ratunku! Włamywaczka! Policja!”.

Po chwili w dole przechodzący właśnie posterunkowy zadał w gwizdek, by przywołać swoich kolegów. W odpowiedzi z północy, zachodu i wschodu rozległy się dźwięki innych gwizdków. Z wnętrza budynku dobiegał tupot biegnących po schodach stóp.

Siostry spodziewały się, że będę uciekać drogą, którą przyszłam. Na dół.

W takim razie tego nie zrobię. Pójdę w górę.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, mając nogi spętane spódnicą i poruszając się w ciemnościach. Ale za kolejnym narożnikiem wymacałam rynnę i uchwyciwszy ją oburącz, podciągnęłam się jak marynarz wspinający się na maszt. Tymczasem poniżej, na ulicę, wylegli sąsiedzi i pojawiła się policja. Narastający harmider – okrzyki, wrzaski, gwizdy, stukot kopyt i dudnienie biegnących stóp – obudził we mnie siły, o które nigdy bym się nie podejrzewała. Dotarłam do końca rynny tylko po to, by stwierdzić, że drogę zagradza mi kolejny gzyms rozszerzającego się ku górze budynku. Byłam jednak w takim amoku, że niczym kot uciekający przed mastiffem wdrapałam się na niego bez wahania.

I znów napotkałam ścianę. Czy nigdy nie dotrę do zapewniającego bezpieczny azyl dachu? Zatrzymałam się na chwilę, by dać upust frustracji, bębniąc pięściami w zabytkowy tynk. Zbędna strata czasu i sił. Odwróciłam się od ulicy i pobiegłam po wąskim okapie w mrok. Pobiegłam. Nie czołgałam się i nie pełzałam, jak wcześniej zrobiłam, ani nie dopuściłam do głosu rozsądku, który nakazywałby zwolnić i badać grunt pod nogami. Biegłam, nie widząc, po czym stąпам. Może wariactwo jest zaraźliwe?

Z impetem wpadłam na jakąś drewnianą strukturę. Obawiam się, że wymamrotałam coś niecenzuralnego, kiedy ta przeszkoda – cokolwiek była – weszła w kontakt z moim nosem, który jak zwykle wysforował się przed resztę ciała. Ręce bezwiednie poszybowały w górę, by przynieść ulgę obitemu narządowi powonienia, jednak zmusiłam je do zbadania przeszkody, która pokrzyżowała mi syki. Mogła to być boczna ścianka wykuszu.

Nie pytaj, co wojny przyczyną, masz walczyć lub ginąć, w czarną dolinę śmierci ruszyła – nie, na dach desperacji wspięła się idiotka, która powinna być wdzięczna losowi za to, że posiada nos, choć pokaźnych rozmiarów; naprzód i w górę! Wdrapałam się na to nieokreślone drewniane coś, podciągnęłam się na jego wąską górę i stanawszy na niej, wciągnęłam w płuca głęboki i dziękczynny haust powietrza: wreszcie było coś widać, mimo że w nazbyt ogólnych zarysach.

Dostrzegłam niebo usiane gwiazdami, a na jego tle ciemniejsze sylwetki dwuspadowych poddaszy i kominów.

Nareszcie!

Jeszcze tylko ostatnia walka z przeklętym okapem i dotarłam na dach.

Zadyszana przywarłam całym ciałem do stromizny wyłożonej dachówkami.

Bezpieczna.

Nikt mnie tu nie znajdzie. Poleżę tu aż do świtu. Ale ledwo to powiedziałam, z bardzo już odległej ulicy rozległ się władczy głos: „Przewieźcie go na drugą stronę! Tutaj! Jak się to cholerstwo obsługuje?”.

I zaraz potem ciemności przeciął oślepiający słup światła, przeganiając nocny mrok gdzie pieprz rośnie. Czytałam, rzecz jasna, w prasie o nowym elektrycznym szperaczu zakupionym na potrzeby Scotland Yardu, ale czytać to nie to samo, co zostać zalaną płynącym z niego światłem. Obawiam się, że wrzasnęłam. Ale zrobiła to jednocześnie cała ludzkość, a przynajmniej jej część tłocząca się na ulicy, więc chyba nikt mnie nie usłyszał.

– Skieruj go na dach!

– Oszałał – stwierdził jakiś mężczyzna. – Nikt by się tam nie wspiął, a co dopiero kobieta.

Nie czekałam jednak na dalszą wymianę zdań. Roztrzęsiona i osłabiona nie próbowałam nawet wstać i przebiec na drugą stronę dachu. Zaczęłam powoli czołgać się po dachówkach – okazało się, że ta instynktowna decyzja była wyjątkowo fortunna. Gdyby nie to, z pewnością by mnie wypatrzyli.

Choć jestem chuda i długa, kiepsko się sprawdzam w roli węża. Udało mi się jednak dotrzeć do kalenicy domu Perteloty. Przytrzymując się kurczowo krawędzi dachu, prześliznęłam się na drugą jego połąć.

Przerażająco jasny strumień światła omiół miejsce, w którym się przed sekundą znajdowałam. Przycupnąwszy po bezpiecznej, zacienionej stronie patrzyłam, jak przecina mrok.

Nie, wcale nie jestem bezpieczna. Zaraz pojedą z reflektorem na drugą stronę domu.

Ta elektryzująca myśl podziałała na mnie jak prąd galwaniczny. Muszę przejść na dach innego budynku, a potem następnego i uciec przed pościgiem. Skoczyłam na równe nogi i przebiegłam po stromym dachu na tyły domu, jak najdalej od światła reflektora, który świecił tak jasnym blaskiem, że nawet poruszając się w cieniu, widziałam przed sobą drogę. Jest! Do dachu przylegał po sąsiedzku drugi i to niezbyt stromy. Z radością na niego przeskoczyłam.

*Trzask!* i poleciałam w dół, jakbym spadła z gzymsu w przepaść.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wśród kaskady dźwięków, które nie dały się pomylić z niczym innym jak tylko z odgłosem tłuczonego szkła, runęłam bezwładnie w dół. Usta bez mojej zgody otworzyły się do krzyku. Ale zanim zdążył się on wydobyć z gardła, mój nieplanowany lot dobiegł końca. Bum! Coś nader skutecznie zamortyzowało upadek.

Wylądowałam na nogi, po czym padłam na kolana i znieruchomiałam pośród... no właśnie, czego?

Otoczała mnie nastroszona, lekka i sprężysta substancja przypominająca gigantyczną tiurniurę. W egipskich ciemnościach, które mnie spowiły, nie dała się zidentyfikować, w przeciwieństwie do padających obok mnie ze stłumionym brzękiem odłamków szkła.

W moich otwartych szeroko ustach pojawiła się słonawa lepka ciecz. Nakazałam zuchwie powrót na miejsce i przyłożyłam do twarzy rękaw. Zabolało. Krew. Najwidoczniej jakiś odłamek przeciął mi skórę. Wyczułam też ranki na dłoniach, ale lekkie szczypanie świadczyło o tym, że szkło nie wbiło się zbyt głęboko w ciało.

Koniec końców uznałam, że wyszłam z tej opresji niemal bez szwanku. Krwawienie, choć niepokojące, nie było obfite. Tu na pewno szperacz mnie nie znajdzie. Zła na siebie, a raczej swoją głupotę, pojęłam szybko, że wpadłam przez szklany dach do oranżerii pana Kippersalta zajmującej najwyższą kondygnację budynku.

Czy aby na pewno *pana* Kippersalta? Flora mówiła o nim tak, jakby już nie żył. Co więcej, jeśli to ona wysyłała dziwaczne bukiety, należałoby wnosić, że to *jej* szklarnia.

Kiedy myśli krystalizowały się w moim skołowanym mózgu, ja trwałam w bezruchu, nadstawiając uszu, czy ktoś nie biegnie na górę zaalarmowany niespodziewanym hałasem. Ale słyszałam tylko głośne bicie własnego serca i mój przyspieszony oddech. I jedno, i drugie powoli wracało do normy, jako że nie działo się nic niepokojącego. Po krótkim czasie doszłam do wniosku, że ścigający mnie ludzie pozostali na ulicy i nie słyszeli brzęku tłuczonego szkła w ogólnym rozgardiaszu, jaki tam zapanował.

Skoczyłam na dach oranżerii, trudno się więc dziwić, że wylądowałam na jakiejś sporej roślinie, która na szczęście okazała się miękka i sprężysta. Czułam uginające się pode mną łodygi. Nie była to zatem gigantyczna tiurniura, chociaż drobne pajęczce pędy, które mnie otaczały, łaskotały moją skórę jak końskie włosie.

Nie przestając nasłuchiwać, czy nie zbliża się zagrożenie, odważyłam się zbadać w ciemności nowe terytorium. W zasięgu rąk nie wymacałam jednak niczego prócz gęstwiny wiotkich pędów. Jakiś spory okaz niewiadomego gatunku. Jego włosowate listki sięgały mi aż do twarzy, mimo że klęczałam na ziemi, z której wyrastał.

Z chwilą, gdy uświadomiłam sobie, że jestem bezpieczna, całe moje ciało zaczęło dygotać, niepomne na głos rozsądku. Poczułam, że nie wytrzymam dłużej w wyprostowanej pozycji. Osunęłam się na podłoże, przeciskając się między łodygami, które ugiwały się pod moim ciężarem. Czułam, jak nade mną zamyka się baldachim giętkich łodyg i cieniutkich gałązek. Ale chociaż wyciągnęłam się na całą długość ciała, nie mogłam wyczuć końca... końca czego? Nie potrafiłam wymyślić niczego sensownego, miałam wrażenie, że trafiłam w sam środek dżungli.

Niezależnie od tego, gdzie się znalazłam, musiałam odsapnąć. Postanowiłam odczekać chwilę, aż minie atak trzęsawki, a potem się stąd wymknąć. Wciąż dygocząc, położyłam się na plecach, złożyłam obie dłonie na piersi – czyli na uchwycie mojego sztyletu – i zamknęłam oczy.

– A niech to jasna cholera! – krzyknął ktoś nagle.

Może nieco innymi słowami, chociaż zdaje mi się, że właśnie takimi. Człowiek nie chce się przed sobą przyznać, że zasnął, ba, pragnąłby za wszelką cenę móc stwierdzić, że stracił z emocji zmysły, jednak w moim przypadku było to niemożliwe, ponieważ nigdy nie mdlałam... Tak czy siak otworzyłam oczy i ujrzałam bladą poświatę brzasku sączącą się przez zieloną gęstwinę delikatnej zieleni... No właśnie, teraz już mogłam bez trudu nazwać tę roślinę. Leżałam otoczona roślami



okazami szparagów.

– Moje *maleństwa!* – zazgrzytał damski głos należący prawdopodobnie do Flory. – Mój głóg, moje anielskie trąby, moje dzwoneczki, wszędzie pełno szkła, a po szklarni hula zimny wiatr!

Chociaż palił mnie wstyd, że dałam się tak beztrzesko zaskoczyć, to jednak trzeba przyznać, że zdołałam narzucić sobie całkowity bezruch – nie licząc tego, że mocniej zacisnęłam palce na rękojęści sztyletu – i nie wydałam z siebie żadnego dźwięku.

Tymczasem na schodach rozległ się tupot nóg.

– Łajdaczka! – skrzeczał dalej kobiecy głos. – Włamała się *tutaj!* Do mojej cieplarni!

– Floro, uspokój się. – Usłyszałam ponownie znużony głos Perteloty. – Już dawno zdążyła uciec.

Och, gdybyż tak było.

– Kto to mógł być, do wszystkich diabłów? – Flora nie przebierała w słowach. – Czego może od nas chcieć?

– Nie wiem. – Pertelota nie wydawała się oburzona używanym przez siostrę słownictwem i ponurym tonem dodała: – Bardzo chciałabym wiedzieć.

– Zabiję ją! Znajdę i ukatrupię, tak jak ukatrupiłam...

– *Flora!* – Ton głosu Perteloty nakazał siostrze milczenie, więc nie dokończyła zdania. – Nikogo nie zabijesz. Już nigdy więcej. *Słyszysz mnie?!*

Flora zamruczała coś pod nosem, zbyt cicho, bym mogła usłyszeć treść.

– Coś ty powiedziała? *Co zrobiłaś doktorowi Watsonowi?* – Pertelota podniosła głos.

– Nic. A kto mówi, że mu coś zrobiłam? – Flora zakwiliła jak dziecko, któremu zabroniono wpadać w furję, więc ucieka w płacz. – Czy musisz się na mnie wydzierać po tym, co spotkało moją *cieplarnię?*

– Na miłość boską, przecież to nie koniec świata. Wystarczy wezwać szklarza. – Pertelota zdradzała oznaki zniecierpliwienia i zdegustowania. – Obym się nie dowiedziała, że maczałaś palce w tym, co spotkało doktora Watsona. Śniadanie mi wystygnie. – Ciężkie stąpanie zdradziło mi, że wyszła.

– Myśli, że może odwracać się do mnie plecami – poskarżyła się Flora, siąkając nosem, jak się domyślam swoim *maleństwom*. – Śniadanie, coś takiego. Jeszcze nie skończyłam. Jeszcze nie.

Usłyszałam, jak człapie w ślad za siostrą, zatraskując za sobą drzwi oranżerii.

A ja tkwiłam w ukryciu, będącym jednocześnie pułapką, otoczona bujnie rozkrzewionymi szparagami, pod którymi znów zaczęłam drzeć.

*Enolu, tak nie można.*

A jednak... te obcesowe, niemal mimochodem rzucone słowa o zabijaniu i o doktorze Watsonie...

*Pomyślisz o tym później. Teraz zacznij się zastanawiać, jak się stąd wydostaniesz.*

Drżenie ciała przybrało na sile. Aby się uspokoić, zastosowałam wypróbowaną już w wielu sytuacjach sztuczkę: zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie mamę. Mamę, która mówi z przekonaniem: „Enolu, doskonale sobie poradzisz sama”. Jak dobrze, że myśl o niej nie raniła mi już serca, tylko przepelniała je ciepłem. Drżenie ustąpiło jak ręką odjął. Odzyskawszy jasność umysłu, zaczęłam się zastanawiać, jaki obrać plan.

Bądź co bądź sytuacja nie była aż tak beznadziejna. Usiadłam wśród szparagów i zdjęłam buty, żeby móc stąpać bezszelestnie w samych pończochach, a następnie wychyłam z gęstwiny. Szparagi rosły w ogromnym, długim na osiem stóp korycie z galwanizowanej stali, ustawionym na kilku drewnianych kozłach. Dostrzegłam to, kiedy odeszłam kilka kroków. Zobaczyłam też dziurę w dachu, efekt mojego nieplanowanego włamania, oraz mnóstwo szkła, które przysypało szparagi, czerwony głóg, białe maki... Nie mogłam jednak poświęcać zbyt wiele uwagi urządzeniu szklarni, ponieważ słańałam się lekko na nogach. Nic dziwnego, od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłam. Kiedy sięgnęłam do kieszeni spódnicy po krzepiące karmelki, które zawsze ze sobą nosiłam, okazało się, że nie zadbałam o uzupełnienie zapasów. Spieszyłam się i zapomniałam o cukierkach.

A niech to lichy. Muszę jak najszybciej się stąd wymknąć, zanim padnę z głodu.

Niosąc w ręku buty, podeszłam na paluszkach – tak cicho jak było to możliwe przy rozchwianiu osłabionego ciała – do drzwi szklarni. Przystanęłam i zaczęłam nasłuchiwać.

Tak jak mogłam się spodziewać, z dołu dobiegały głosy spierających się o coś siostr. Dopóki wylewają przed sobą wzajemne żale, dopóty mam pewność, gdzie się znajdują. A jeśli w domu jest służba, to niewątpliwie zajęła się podsłuchiowaniem kłótni. Chociaż wątpię, by Pertelota zatrudniała jakąś pomoc. Jeśli Flora była taka, jaką się wydawała, siostra nie mogła ryzykować zatrudniania obcych, którzy mogliby wyjawic osobom postronnym szczegóły ich życia.

Cichuteńko otworzyłam drzwi szklarni, wymknęłam się i zesłam po schodach.

W którymś z pokoi od ulicy Flora dopytywała natarczywie:

– Zawsze będziesz o mnie dbała, prawda, siostrzyczko? Odpowiedz! Zawsze będziesz o mnie dbała.

Poza tym jednym razem, kiedy szczury ogryzły jej twarz.

Przeszył mnie nagły chłód. Chwiejnym krokiem przemknęłam się po schodach na tył domu, przeszłam przez pustą kuchnię, znalazłam tylne wyjście i pobiegłam przed siebie, zataczając się i nie bacząc na to, że obijam stopy o kamienny bruk, czy też na to, że uciekam w stronę najgorszej wylęgarni zbirów w całym Londynie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tak się osobliwie składało, że brudna twarz i rozczochrane włosy stanowiły na tych szemranych, pełnych nędzy uliczkach gwarancję bezpieczeństwa. Trzeźwiejący po wieczornym chlaniu pijacy i pijaczki pojękiwali w rynsztokach. Dziewczynka odziana w fartuch i niewiele więcej, z sinymi z zimna nogami, wtulała się w futrynę drzwi. Chłopcy w oberwanych koszulach i za dużych o kilka rozmiarów spodniach podwiniętych na chudych nogach w obwarzankowe kształty, biegli za jakąś zażywną jejmością, żebrząc o parę pensów. Żony opróżniały wiadra z pomyjami, robotnicy we flanelowych koszulach ciężkim krokiem zmierzali do swoich zajęć. Mężczyzna pchający przed sobą wózek krzyczał: „Gorące bułeczki, kielbaski, pudding z łożu! Gorący pudding w sam raz na śniadanie!”. Nikt nie zwracał na mnie uwagi – ani kiedy przysiadłam na krawężniku, by wzuć z powrotem buty, ani kiedy podeszłam do ulicznego sprzedawcy, by kupić od niego niewiarygodnie podłej jakości kielbaskę, którą pochłonęłam łapczywie, kuśtykając dalej. Gdyby przeurocza panna Everseau zapuściła się w te podejrzone złodziejskie rewiry, od razu zostałaby osaczona, okradziona, rozebrana z eleganckich fatalasek i wypuszczona – albo i nie – niemal w stroju Ewy. Ale widok rozczochranej dziewczyny z obłędem w oczach, pokaleczonej i posiniaczonej jak po ciężkiej bójkę, nie budził tam najmniejszego zainteresowania.

Kiedy dotarłam do swojego pokoiku – naprzeciwno domostwa Watsonów, do którego miałam o wiele bliżej – sytuacja się zmieniła. Szczęśliwym trafem moja gospodyni o świdrującym wzroku dokądś wyszła, musiałam jednak przekupić dziewczynę do wszystkiego, która wytrzeszczała na mnie zdumione oczy. Dałam jej szylinga w zamian za obietnicę przekazania pani domu, że zaniemogłam i proszę o przynoszenie mi posiłków do pokoju. Musiałam wysupłać drugiego szylinga, żeby przygotowała mi w tajemnicy kąpiel.

Skutek był taki, że kiedy nastąpiło popołudnie, ja byłam już nakarmiona, czysta i przyzwoicie odziana w domową suknię z drukowanego w bukieciki materiału, a skaleczenie na mojej twarzy zaklejone plastrem. Przechadzałam się nerwowo po pokoju pełna obaw.

W głowie wciąż dudniły mi słowa Perteloty: „Flora! Nie wolno ci już nikogo więcej zabić. Coś ty zrobiła doktorowi Watsonowi?”.

Wielkie nieba, musiałam to wiedzieć.

Ale jeśli chcę ratować doktora Watsona – jeśli jeszcze żyje! – muszę się dowiedzieć czegoś więcej na temat Flory. Ustalić, jakie nosi nazwisko. Czy rzeczywiście kogoś uśmierciła. Czy naprawdę była w szpitalu dla umysłowo chorych i czy doktor Watson podpisał wniosek o umieszczenie jej w zakładzie zamkniętym, budząc w niej żądzę zemsty. No i musiałam wy badać, jak dokładnie wygląda procedura kierowania pacjentów do szpitali dla umysłowo chorych. Wiedziałam tylko, że wymagało to dokumentów podpisanych przez członka rodziny i dwóch lekarzy. Pytań uzbierało się tyle, że planowałam już serię wizyt w urzędzie gminy, na policji, w szpitalach, wreszcie w samym Colney Hatch, by wy badać...

Jednak rana na twarzy – chociaż powierzchowna – uniemożliwiała mi wyjście na miasto jako śliczna panna Everseau. Nawet tyciunia krostka skazywała szanujące się damy na odosobnienie do czasu pozbycia się tej przypadłości.

A ja nie miałam tu do dyspozycji innego przebrania ani nawet gęstej woalki. A jeśli bym coś znalazła, na niewiele by się to mi zdało. Doświadczenie nauczyło mnie już, że jedynie urokliwa panna Everseau mogłaby nakłonić przedstawicieli urzędniczego świata do uchylenia rąbka tajemnicy zawodowej.

Czyli dopóki nie zagoi się skaleczenie nad górną wargą – niezależnie od tego, ile razy jeszcze przemierzę nerwowo pokój – dopóty nie ucieknę przed nieuniknionym. Do czasu, aż nie zablizni się skaleczenie albo nie znajdę odpowiedniego przebrania, mam związane ręce. Nie mogę nawet opuścić wynajmowanego pokoiku w obawie, że ktoś mógłby mnie zobaczyć.

Niezośna myśl. A co w tym czasie będzie się działo z doktorem Watsonem?

A co się z nim mogło stać do tej pory?

A niech to lichy porwie! Tak nie można!

Zostawić Watsona na wątpliwej łasce Flory choćby dzień dłużej? Nie potrafiłabym spojrzeć w lustro, gdybym tak postąpiła. Ale nie było innego wyjścia, chyba że...

Chyba że nawiążę kontakt z moim bratem Sherlo-ckiem.

Myśl ta wprawiła mnie natychmiast w popłoch. Udanie się do niego z wizytą nie wchodziło w rachubę, podobnie jak nawiązanie kontaktu korespondencyjnego – brat był piekielnie inteligentny i od razu trafiłby po nitce do kłębka! Z tego, co na jego temat czytałam, wynikało, że najmniejszy szczegół: wybór papeterii, barwa atramentu, cechy charakteru pisma, odcisk palca listonosza... mógłby mnie zdradzić.

Nie mogłam ryzykować. A jednak musiałam.

Gdybym siedziała beczynnio, a doktor Watson umarł...

– Gazyta, psze pani – odezwał się nieśmiały głos, któremu towarzyszyło równie nieśmiałe pukanie. Była to dziewczyna do wszystkiego, którą posłałam po dzisiejsze wydanie „Pall Mall Gazette”.

– Dziękuję. Połóż na stojaku pod drzwiami, proszę.

Kiedy zeszła na dół, porwałam gazetę do swojego pokoju i wciąż nerwowo się przechadzając, przejrzałam ją w poszukiwaniu jakichkolwiek doniesień na temat doktora Watsona. Jak można się domyślić, niczego nie znalazłam. Zniecierpliwiona rzuciłam gazetę w kąt, zostawiwszy sobie jedynie stronę z ogłoszeniami drobnymi. Mogłam się tego spodziewać – bo anons pojawiał się codziennie od chwili, gdy go pierwszy raz zobaczyłam – znów zamieszczono tam wiadomość o treści: 422555 14341122434251434251 52513342532355 2241654251 1342514155 135331321133 5445535211 3132345565114354513311.

Co po odszyfrowaniu stanowiło: IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY GDZIE KIEDY KOCHAM TWOJA CHRYZANTEMA.

I wciąż nie miałam pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Zbyt dobrze znałam mamę. Nie lubiła okazywać, że „kocha”. Nie napisałaby tak do mnie. Ale tak bardzo chciałam, żeby to jednak była ona. Zwłaszcza teraz, kiedy zżerał mnie niepokój o doktora Watsona. Mama wiedziałaby, jak postąpić. Byłam tego pewna.

A gdyby istniało choćby niewielkie prawdopodobieństwo, że to ona zamieściła anons, czy mogłabym przeoczyć taką okazję? Skoro wyciąga do mnie dłoń w geście rodzinnego pojednania, a ja jej nie odpowiem, czy jeszcze kiedykolwiek to uczyni?

Może wyczuła, że mam do niej mały żal, i chce się zrehabilitować?

A jednak moja matka – KIEDY GDZIE – moja mama, była w tym układzie osobą, która musiałaby przyjechać do Londynu z nikomu (poza Cyganami) nieznanego miejsca. Czy nie wolałaby sama ustalić czasu i miejsca spotkania?

A może ktoś nie chce budzić we mnie podejrzeń i nie wskazuje konkretnego miejsca z obawy, że niefortunnie je wybierze?

Kiedy tego rodzaju myśli przebiegały mi przez głowę... a raczej krążyły po niej jak pies goniący za własnym ogonem, oczy zajęły się rutynowym przeglądaniem pozostałych ogłoszeń. I nie napotykały niczego, co byłoby godne uwagi. Aż do chwili, gdy natrafiły na frapujące i tajemnicze słowa w dziale anonsów osobistych. A do tego wydrukowane ponadwymiarową czcionką.

ALONE PART PART ALONE

Bez adresata i podpisu.

To wszystko.

Przyglądałam się zdumiona, jak zapewne wielu czytelników gazety, temu enigmatycznemu anonimowemu tekstowi, którego nie sposób było przeoczyć. Nie był zaszyfrowany. Napisano go po angielsku. Ktoś chciał coś komuś przekazać. Ale co? „Part alone”. Odejdź sam, sama. Ale od kogo? I jak można odejść inaczej niż w pojedynkę? Dla mnie był to chleb powszedni, bo zawsze byłam sama, nawet moje imię czytane wspaniałym brzmieniem *alone*...

I olśnieniu:

## ENOLA TRAP TRAP ENOLA

Roześmiałam się głośno, po czym spłynęła na mnie wielka ulga. Wiadomość była jednak zaszyfrowana, i to w tak dziecinnie prosty sposób, że mógł na to wpaść tylko genialny umysł mojej mamy (trap to pułapka). Dzięki niej wiedziałam już na pewno, że tekst: IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY to fortel, za którym skrywa się niewątpliwie mój drogi braciszek. I dowiedziałam się czegoś jeszcze: być może mama nie była wzorem macierzyńskiej troski w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, a jednak o mnie dbała. Na swój sposób.

Choć wciąż czekało mnie karkołomne zadanie wspomnienia mojego brata w misji zlokalizowania doktora Watsona, czułam się teraz bardziej na siłach mu sprostać. Przywołując w pamięci twarz matki – z wielką czułością – uspokoiliłam się na tyle, żeby wreszcie usiąść. Utwierdzona w swoim postanowieniu, wzięłam ołówek i kartkę.

Do dzieła. Co będzie mi potrzebne, żeby porozumieć się z bratem, a co mogę zachować dla siebie?

Przede wszystkim, co wiem na pewno?

Położyłam arkusik na kolanie i napisałam:

*Wiem, że Pertelota powiedziała: „A co znów ta łajza zmalowała?”. A może wcale nie miała na myśli swojego męża? Bo przecież powinna raczej powiedzieć „Co znów ten łajza zmalował?”. Może miała na myśli swoją siostrę?*

*Wiem, że choć Pertelota mówi o swoim mężu, panu Kippersalcie, jak o osobie żyjącej, to z wypowiedzi Flory wynikałoby, że zszedł z tego świata.*

*Wiem, że Pertelota powiedziała Florze: „Masz już nikomu więcej nie bruździć”. Co na to Flora? Coś o umieszczeniu kogoś w miejscu, gdzie mu dogodzą”. Czy miała na myśli pana Kippersalta, czy doktora Watsona?*

*Wiem, że Pertelota zadała jej pytanie: „Coś ty zrobiła z doktorem Watsonem?”.*

*Wiem, że Flora chodziła w męskim stroju i na pewno to ona zleciła doręcznie złowieszczych bukietów.*

*Wiem, że Pertelota zabroniła jej uśmiercać kolejne osoby. Czy Flora pozbawiła życia doktora Watsona?*

Zatrważające pytanie.

W przerwach bazgrałam esy-floresy, ale gdy skończyłam pisać, zaczęłam z zapalem rysować. Może nie jestem artystką, ale mam dar portretowania ludzi tak, by uwypuklić ich cechy charakterystyczne. Naszkicowałam Pertelotę (jak naprawdę miała na imię, czy rozpoznała postać stojącą za oknem – to kolejne pytania, na które trzeba będzie znaleźć odpowiedź). Stworzyłam podobiznę Flory w przebraniu mężczyzny, ze sztucznie doklejonymi nosem i kozią bródką. Uznałam, że znacznie lepiej się prezentuje jako przedstawicielka płci brzydkiej. Pertelota była zbyt ograniczona, żeby to dostrzec. Ale dlaczego Flora postanowiła udawać mężczyznę?

Pamięć podsunęła mi odpowiedź. Zapisałam:

*Flora powiedziała: „Musiałam przecież grać twojego męża, nie?”.*

*Pertelota poprosiła, by dać mu odpoczywać w pokoju.*

Choć zwątpiłam nieco w swoje umiejętności po tym, jak moja teoria o beznosym żołnierzu okazała się chybiona, zabrałam się do snucia hipotez na temat tego, co mogło zająć między Pertelotą, Florą a nieuchwytnym panem Kippersaltem. Ten ostatni, choć początkowo wspierał żonę, z czasem uznał, że dłużej nie zniesie obecności Flory w domu, i umieścił ją w Colney Hatch. Rozważając tę kwestię, naszkicowałam Florę ponownie, tym razem jako kobietę, obdarzywszy ją rysami twarzy zbliżonymi do rysów siostry. Pertelota, która po nieszczęśliwym wypadku ze szczurami poświęciła resztę życia opiece nad siostrą, nie potrafiła się pogodzić z myślą, że Flora trafi do domu dla obłąkanych, mimo że zdradzała widoczne oznaki choroby umysłowej. Zmuszona do wyboru między mężem a siostrą postawiła na więzy krwi, sprzeciwiła się mężowi i wyciągnęła Florę z zakładu zamkniętego.

A Flora, niewiele myśląc, uśmierciła pana Kippersalta.

Fakt ten najwyraźniej nie złamał wdowie serca. Pertelota zatuszowała zbrodnię, udając przed światem, że jej ślubny żyje. Próbowała też roztoczyć nad siostrą kuratelę, by zapobiec tego typu nieszczęśliwym zdarzeniom. Wszystko jednak wskazuje na to, że Flora dalej knuła jakieś niecne intrygi.

*Oczywiście.*

Przypomniałam sobie kolejny strzępek podsłuchanej rozmowy. Zapisałam go.

„*Pożalujesz! Ty i każdy doktorzyna, który podpisze ci papiery!*”

Flora nie potrafiła darować doktorowi Watsonowi tego, że podpisał nakaz umieszczenia jej w zakładzie zamkniętym. Tak, to z pewnością dobry trop.

Ale... co mu zrobiła? Zabiła go?

Przejął mnie zimny dreszcz i poczułam ukłucie w sercu. Nie byłam w stanie zaakceptować takiej teorii.

Rozmyślając nad tą kwestią, naszkicowałam Florę taką, jaką ją zobaczyłam, pozbawioną nosa i wypełnień z kitu do modelowania twarzy. Nie było to łatwe, a wręcz bolesne przedstawić nieszczęsną kobietę w tak realistyczny sposób. Wyobraziłam sobie dwie małe nędzarki, pozostawione same sobie w skrajnie podłych warunkach, podczas gdy ich matka szorowała podłogi jakiejś pani domu, dla której los okazał się łaskawszy. A może nawet już nie żyła. A może skatowała starszą córkę i przestała ją kochać, po tym jak zastała po powrocie niemowlę ze zmasakrowaną przez gryzonie buzią. Mogła też przestać kochać oszpecone dziecko. Ale to, czy wychowało się z matką, czy bez niej, było przy takich okaleczeniach mało istotne. Sama świadomość deformacji mogła wpędzić w obłąd.

Przeszył mnie kolejny dreszcz i spojrzałam na efekt swojej pracy. Współczucie, a może nawet wymykające się wszelkiej logice zrozumienie sprawiło, że sportretowałam Florę za pomocą kwiatów.

Zamiast ust narysowałam kwiat powoju, odwrócony pąk róży zastąpił nos, oczy stały się dwoma makami, a włosy przedstawiłam jako płataninę wiotkich pędów szparagów. Moim dziełem był dość kuriozalny bukiet.

O bogowie w białych szatach! Wróciłam do punktu wyjścia.

Wszystkie kwiaty, z wyjątkiem róży – która odwrócona symbolizowała brak miłości – znajdowały się w wiązance, którą widziałam w saloniku pani Watson.

Doskonale rozumiałam, jakie niosły ze sobą przesłanie, tajemnicą pozostawał jedynie szparag. Co, u diaska, symbolizował?

A skoro już przy tym jesteśmy, po co było Florze aż tyle szparagów w cieplarni? Do bukietów? Wystarczyłoby ich do ozdobienia tysiąca wiązanek. Do jedzenia? Mogłaby zaopatrywać całą Holywell Street. Ale nie zauważyłam żadnych śladów wycinania przypominających włócznie jadalnych pędów.

Włócznie.

Może tu coś się kryje? Włócznia, dzida, narzędzie do przebijania: nienawiść albo śmierć. Szparag, po łacinie *asparagus*.

*A spear of Gus* – włócznia Gusa.

Wyprostowałam się gwałtownie z głośnym okrzykiem, rozrzucając na prawo i lewo zgromadzone na kolanach papiery. Jak porażona światłem elektrycznego szperacza, doznałam olśnienia: ujrzałam przebieg wypadków i rozumiałam wszystko. Przeszkody nie do pokonania zniknęły, a ja wiedziałam już, co robić.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wcale nie muszę narażać się na utratę wolności, pisząc list do mojego brata Sherlocka.

Pobudzona do tego stopnia, że zaczęło mi się kręcić w głowie, chwyciłam czysty arkusik i przystąpiłam do komponowania całkiem innej wiadomości.

Kilka chwil później była już gotowa. Brzmiała tak:

*41654244421152 1453231541434251 651113231141 315323435155  
3211543132 441455541131 53 14 1342141451344411235411 E.H.*

Nie pozwoliłam sobie nawet na chwilę wahania, podpisując całość własnymi inicjałami. Pochlebiam sobie, że przypominam brata nie tylko za sprawą wydatnego nosa. Podobnie jak on lubiłam dramatyczne efekty.

Oraz niespodzianki. I właśnie z tego powodu nie wyjawiam jeszcze łaskawemu czytelnikowi treści mojego anonsu, i choć wiem, że z całą pewnością potrafiłby go sam odcyfrować, proszę o nieuleganie pokusie na czas dalszej lektury.

Kiedy przepisałam na czysto ostateczną wersję swojego nowego ogłoszenia, przyłożyłam do kartki suszkę, złożyłam arkusz na troje i opieczetowałam woskiem, a potem zastanowiłam się, jak najszybciej dostarczyć tekst do redakcji „Pall Mall Gazette”, żeby ukazał się w porannym wydaniu. Nie mogłabym powierzyć tej misji przypadkowemu ulicznikowi. Z kolei posłaniec w mundurze czy licencjonowany goniec mógłby zostać później wezwany do składania zeznań i naprowadzić policję na mój ślad. W końcu uświadomiłam sobie (tu przewróciłam oczami), że znów jestem zdana na siebie. To już u mnie norma. Podniosłam się z fotela gotowa do podjęcia działań. Za pomocą ołówka i tajemnego arsenału zabarwiłam skrywający ranę plaster, nadając mu mniej widoczny w wieczornym świetle kolor. Bo przecież w takim stanie nie mogłabym się pokazać na ulicy za dnia. Po zachodzie słońca odziałam się w starą czarną suknię i szal, na głowę włożyłam perukę, na nią kapelusz z najszerszym rondem ocieniający twarz, dla pewności przypięłam do niego sporą woalkę i ruszyłam w stronę Fleet Street.

Poszło jak z płatka. Trafiłam na obojętnego urzędnika nocnej zmiany, który nie zaszczycił mnie dłuższym spojrzeniem, tylko zainkasował wpłatę i przyjął mój tekst, obiecując natychmiast przesłać go do druku.

Świetnie. Wiedziałam jednak, że jeśli zachowam się jak rozsądna młoda dama, wrócę do wynajmowanego pokoju, zamówię kolację i przebiorę się do snu, to i tak nie zmrużę oka. Wciąż czułam oszołomienie po swoim nagłym odkryciu i wciąż dręczył mnie niepokój o doktora Watsona. Jeśli jest tam, gdzie wydedukowałam, z pewnością zdoła przetrwać kolejną noc i wszystko dobrze się skończy. Raz po raz odtwarzałam w pamięci swój tok rozumowania i raz za razem dochodziłam do tego samego wniosku. Mimo to nie potrafiłam się zdobyć na pełne zaufanie do swoich władz umysłowych. A jeśli coś przeoczyłam? Jeśli popełniłam błąd? Może byłam tylko głupią, błędzącą we mgle pannicą, która powinna pobiec w te pędy do wielkiego Sherlocka Holmesa, człowieka czynu, i przekazać mu inicjatywę?

Nie byłabym w stanie wrócić do siebie i czekać. O, nie. Ośmielona obecnością ukrytego w gorsecie sztyletu i pewnością, że po zmroku nie wyróżniam się niczym spośród innych przechodniów, zapuściłam się z powrotem w „odrażające labirynty przeludnionych i stłoczonych ze sobą kamienic, skazanych na wieczny brak światła i powietrza, na nieprzerwane rządy brudu, chorób i występku... duszne placyki, podwórza, uliczki i zaułki ściśnięte na małej powierzchni, gdzie mnożyły się skupiska skrajnej biedoty, skazanej na ostracyzm, oddalenie i odosobnienie” – jak widział to „Penny Illustrated Paper” – innymi słowy w okolice leżące za Holywell Street, tam, gdzie dzisiejszego ranka widziałam dziewczynkę o posiniałych z zimna stopach, odzianą w nędzny fartuch zarzucony na gołe ciało.

O tak późnej porze ulicami przelewały się tłumy na wpół pijanych mężczyzn i kobiet, wśród których krążyli obwoźni kupcy zachwalający tanie skorupiaki, piwo imbirowe albo słodocze. Na każdym rogu stały wymalowane kobiety handlujące nieco innym towarem. Trafiali się też żebracy,

którzy upierali się, że należą do kasty ulicznych artystów. Przystanęłam, by popatrzeć na niechlujnego mężczyznę z tresowanym szcurem. Gryzoń stawał wyprostowany jak struna na otwartej dłoni ulicznego sztukmistrza. Właściciel drapał na nim chustkę do nosa, nadając mu pozory a to rzymskiego senatora w todze, a to anglikańskiego duchownego w albie czy sędziego w białej peruce, a to – po dodaniu drugiej chustki – damy przedstawianej na królewskim dworze. Wokół niego gromadził się tłum rozbawionych gapiów, którzy rozpierzchali się z chwilą, gdy kuglarz ściągał z głowy czapkę. Tylko ja rzuciłam mu pensa. Ruszyłam dalej i natknęłam się na grupkę dzieci pozostawionych na jakiś czas – albo i na zawsze – samopas przez odurzonych dżinem rodziców.

Minęło niepokojąco wiele czasu, odkąd ostatni raz wspomagałam londyńską biedotę. Nie liczyłam go już w dniach, ale w tygodniach.

Trafiłam na chłopców w łachmanach kulących się w bramie jak głodne szczenięta. Nie wzięłam ze sobą nic do jedzenia, więc obdarowałam każdego z nich szylingiem. Po chwili jednak salwowałam się ucieczką, ponieważ zrobili raban na całą ulicę, zwołując innych. Gdybym się w porę nie schowała, zostałabym napadnięta i okradziona.

I tak sobie poczyślałam przez większość nocy. W końcu udało mi się odszukać zziębniętą dziewczynkę w fartuchu, która była celem mojej wizyty w tym zakazanym miejscu. Stała tam, gdzie widziałam ją poprzednio. Zabrałam ją do sklepu z używaną odzieżą, obudziłam pukaniem właściciela i zaopatrzyłam małą w okrycia, buty i pończochy, wręczając jej również pieniądze na jedzenie. Była tak oszołomiona, a jednocześnie podejrzliwa, że nawet mi nie podziękowała, ale nie liczyłam na wdzięczność. Nagrodą było mi cudowne znużenie i namiastka spokoju wewnętrznego. Kilka godzin przed świtem wróciłam do swojej izdebki gotowa wreszcie zasnąć.

Na to przynajmniej liczyłam. Zdaje się, że udało mi się nawet zdrzemnąć, ale o wschodzie słońca byłam już na nogach i ubierałam się z wielkim rozmysłem, przygotowując się na każdą ewentualność. W gorsecie schowałam pieniądze, sztylet, bandaże, herbatniki, zestaw do szycia, papier i ołówek, wytrychy, sole trzeźwiące, szal na głowę. Zapasowe pończochy upchnęłam w uzdatniaczu biustu, a po kieszeniach rozmieściłam czystą chustkę do nosa, rękawiczki, dodatkowe pieniądze oraz – obym już nigdy więcej o nich nie zapomniała – zapas karmelków. Mimo starań, żeby zapanować nad nerwami i skupić się na skuteczności działań, byłam tak pobudzona, że prawie nie tknęłam przyniesionego mi przez służącą śniadania.

Wstałam przedwcześnie od stołu i podeszłam – w peruce i kapeluszu, zbyt niecierpliwa, by usiąść – do okna, z którego roztaczał się widok na rezydencję Watsonów.

Ujrzałam pokojówkę, która wyszła na próg z wiadrem mydlin i szczotką, przyklekła i wypucowała kamienne schody do białości – tak jak to robiła w każdy dzień powszedni. To trochę potrwa. Westchnęłam i zmusiłam się, by usiąść. Przebierałam opuszkami palców po parapecie, jakbym grała wyimaginowane melodie na klawiaturze. A raczej kocią muzykę, bo nigdy nie brałam lekcji fortepianu.

Jak zwykle o stałej porze pojawiła się mała mleczarka, tym razem ciągnąc na postronku oślicę. Widać któryś z mieszkańców ulicy poważnie zaniemógł i potrzebował świeżego oślego mleka. Przyglądałam się tej nędznej istocie, jakbym pierwszy raz widziała to długouche zwierzę.

Kiedy samica kłapoucha i dójka zniknęły mi z oczu, wróciłam do bębnienia palcami o parapet.

Pokojówka Watsonów, która zdążyła się już uporać z pucowaniem schodów, pojawiła się ponownie, by tym razem zadbać o czystość szyb na parterze.

Zza rogu wyjechał rozwoziciel lodu. Ładunek ciągnęła wyjątkowo mądra stara chabeta, która bez polecenia zatrzymywała się przy kolejnych drzwiach, by jej pan mógł rozładować i dostarczyć towar. Obsługa wszystkich mieszkańców ulicy zajęła im sporo czasu, więc przyjrzałam się obojgu bardzo uważnie, notując w pamięci szczegóły, łącznie z maścią konia – nie wydała mi się ona ani szara, ani jabłkowita. Uznałam, że najwłaściwszym jej określeniem będzie „dereszowata”. Dostawca lodu i jego siwa szkapa zniknęli w końcu z pola widzenia. Palce zmęczone długotrwałym bębnieniem znieruchomiały. Gorączkowe wypatrywanie przerodziło się w bolesną tęsknotę. Czekałam.

I czekałam.



Iomal nie przeoczyłam nadjeżdżającej od północy kaleszy. Oczekiwałam dorożki, więc spoglądałam obojętnie na prywatny powóz z opuszczoną budą. Byłam przekonana, że jakaś starsza dama wybrała się na przejażdżkę w towarzystwie pielęgniarki. Pojazd był już na tyle blisko, że widać było pasażerów...

Skoczyłam na równe nogi i wrzasnęłam z radości, by od razu odruchowo zasłonić dłońmi usta, jakby brat mógł mnie usłyszeć.

Ale nie był to, ku mojemu zaskoczeniu, Sherlock.

Cylinder, monokl i ciężka złota dewizka zdobiąca szeroką połąc jedwabnej kamizelki świadczyły dobitnie, że pod dom zajechał drugi z moich braci, Mycroft! Ten, który nie zadawał sobie trudu, żeby samodzielnie mnie odszukać, tylko siedział rozparty w fotelu i wydawał polecenia. Ten, który od lat krążył nieodmiennie po orbicie między domem, urzędem państwowym a Klubem Diogenesa. Ten, który nie zaprzętał sobie głowy drobiazgami.

Tak przynajmniej do tej pory sądziłam.

Okazuje się, że byłam w błędzie. Mycroft również próbował mnie odnaleźć. Ba, udało mu się zrozumieć kwiatowy szyfr, którym porozumiewałyśmy się z mamą, jeszcze lepiej niż Sherlockowi, wskutek czego omal nie dałam się wciągnąć w pułapkę. Okazuje się, że to on zamieścił w „Pall Mall Gazette” zaszyfrowaną wiadomość: IVY PRAGNIENIE JEMIOŁY GDZIE KIEDY KOCHAM TWOJA CHRYZANTEMA

I to właśnie on zareagował na moją odpowiedź: 41654244421152 1453231541434251 651113231141 315323435155 3211543132 441455541131 53 14 1342141451344411235411 E.H.

A teraz, łaskawy czytelniku, zdradzę jej treść, jeśli sam nie podjąłeś jeszcze wyzwania, grupując litery alfabetu w pięć wersów po pięć liter każdy (dodatkowo z X). Pierwsze dwie cyfry w anonsie odsyłają do czwartej litery z pierwszego wiersza, czyli D. Potem trzeba znaleźć szóstą literę z ostatniego wersu. Dalej czwarta litera w drugim wierszu (I), czwarta litera z czwartego wiersza (S), czwarta z drugiego (I), pierwsza z pierwszego (A), ostatnia z drugiego (J). Razem:

DZISIAJ

Całość zaś brzmiała: DZISIAJ POŁUDNIE ZAKŁAD COLNEY HATCH SPYTAĆ O P. KIPPERSALTA.

I podpis: E.H.

Takie wezwanie przeczytał dziś Mycroft w porannym wydaniu „Pall Mall Gazette” – wezwanie, którego nie potrafiłby zignorować, choć było dla niego zagadką.

Mogę sobie jedynie wyobrazić, co się stało, kiedy Mycroft zjawił się w Colney Hatch i przyprowadzono mu „pana Kippersalta”. Obdarzony władczym charakterem starszy z panów Holmes (w zasadzie obaj moi bracia wywodzący się z wyższych klas i przyzwyczajeni do wydawania rozkazów potrafiliby tego dopiąć), jak widać, wypełnił misję uwolnienia „pana Kippersalta”, przyjechał bowiem pod dom Watsonów w towarzystwie... tak! Eureka! Miałam rację! Obok niego siedział sam doktor Watson.

Przemiły lekarz nie wyglądał na zbyt ożywionego, co było zrozumiałe u człowieka po tak dramatycznych przejściach, lecz był cały i zdrow.

I szeroko się uśmiechał.

Chwilę później nastąpiła seria zdarzeń będących balsamem na duszę obserwatorce z za szyby naprzeciwno. Pani Watson, zaalarmowana wrzaskiem pokojówki, która pierwsza zauważyła, kogo przywiózł pod dom odkryty powóz, wybiegła na zewnątrz i niemalże sfrunęła ze schodów. Kiedy jej mąż, chwając się lekko na nogach, wysiadł z kaleszy, rzuciła mu się na szyję, nie czekając, aż oboje znajdą się pod dachem.

A potem było jeszcze lepiej: na ulicy pojawiła się dwukółka ciągnięta przez konia pędzącego w niedozwolonym galopie, a kiedy się zatrzymała, wyskoczył z niej wysoki i chudy jak szczapa mężczyzna, który chwycił dłoń przyjaciela i raz po raz nią potrząsał. Muszę przyznać, że nigdy nie widziałam Sherlocka w radośniejszym nastroju.

Uśmiechałam się ze szczęścia, choć ścisnęło mi się serce. Znowu pojawiło się tak dobrze znane

uczucie słodkiej goryczy. Znow mogłam się cieszyć przejawami rodzinnej czułości wyłącznie na odległość. Kiedy wszyscy bohaterowie zdarzenia zniknęli we wnętrzu domu, a dorożka i kalesza odjechały, stało się jasne, że dramat dobiegł końca.

Uśmiechnęłam się i westchnęłam, po czym zajęłam się pakowaniem swego dobytku. Czas wrócić do pokoiku w skromniejszej, ale znajdującej się w bezpiecznej odległości rezydencji pani Tupper.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W wieczornym wydaniu „Pall Mall Gazette” dostrzegłam w dziale ogłoszeń drobnych następującą wiadomość:

*Do E.H.: Laury należą się tobie. Pokornie dziękujemy. S.H. i M.H.*

Co? A to dopiero zaskoczenie i do tego jaka satysfakcja!

Siedząc sobie w wygodnym szlafroku w zaciszu pokoju pani Tupper, z nogami opartymi o puf, przeczytałam tekst raz jeszcze: *Do E.H.: Laury należą się tobie. Pokornie dziękujemy. S.H. i M.H.*

Moja poharatana twarz wykrzywiła się w niemądrym uśmiechu. Nieoczekiwane wyrazy uznania sprawiły mi wielką radość.

To ładnie ze strony braci, że zauważyli mój wkład w rozwiązanie zagadki, które okazało się dziecinnie proste, gdy pojęłam tajemnicę słowa *asparagus*.

*A spear of Gus. Włócznia Gusa.*

Gus to zdrobnienie od imienia Augustus.

Którym nie mógł być nikt inny jak tylko Augustus Kippersalt. Początkowo, kiedy znalazłam go w rejestrze mieszkańców, uznałam, że nie warto zaprzętać sobie nim głowy, ponieważ niedawno został umieszczony w szpitalu dla obłąkanych, więc nie może być Kippersaltem, którego poszukuję.

I w pewnym sensie miałam rację, ponieważ Kippersalt, którego poszukiwałam, już nie istniał.

Ale przecież mężem Perteloty był Augustus Kippersalt.

Który – co uświadomiłam sobie dzięki niezwyklej sposobności noclegu na grządce szparagów, skutkującym jeszcze bardziej niezwykłym olśnieniem – nie był pacjentem Colney Hatch. Założę się o własny nos, że został dosłownie „wsadzony” do nietypowo wielkiej doniczki szklarniowej. Byłam o tym przekonana do tego stopnia, że – z odrobiną żalu, ponieważ darzyłam Pertelotę sympatią – wysłałam do inspektora Lestrade’a ze Scotland Yardu anonimowy liścik z opisem moich podejrzeń i sugestią, by wy badał sprawę.

Ponieważ zabójstwo Augustusa Kippersalta pozostało niewykryte, nie wydano świadectwa zgonu.

Pan Kippersalt, jako prawnie istniejący człowiek, mógł zostać okrzyknięty szaleńcem. Jak się udało Florze sfalszować dokumentację? Nie wiem i być może nigdy się nie dowiem. Nie wiem także, jak jej się udało – prawdopodobnie w męskim przebraniu – wyciągnąć doktora Watsona z klubu ani pod jakim pretekstem wysłała po niego „łowców ciał”. Jednak zasadniczo było dla mnie oczywiste, że dokonała aktu zemsty.

– Wsadziłam go tam, gdzie sam mnie kiedyś wsadził – oświadczyła siostrze w takich lub podobnych słowach, kiedy przycupnęłam pod ich oknem. – Już tam mu pięknie dogodzą.

Wyobrażam sobie, że przymusowy pobyt w Colney Hatch niezależnie od długości jego trwania musiał „pięknie dogodzić” doktorowi, miałam jednak nadzieję, że spędzony tam tydzień nie pozostawi w jego psychice większych szkód.

Więc jednak dobrze się złożyło, że spadające szkło raniło mnie w twarz. Powstrzymało mnie to przed nazbyt szybkim podjęciem działań i w rezultacie zdemaskowaniem się.

I dopiero niemal dwa tygodnie później – długo po tym, jak doktor Watson wznowił swoją praktykę lekarską – prześliczna panna Everseau złożyła kolejną wizytę obdarzonej złotym sercem pani Watson.

„Tajemny arsenał” pozwolił mi subtelnie upiększyć niemal zagojoną już cerę. Przykleiłam do skroni pieprzyk, zadbałam o bardzo stylowe uczesanie peruki, zamocowałam ją szpilkami na własnych niereprezentacyjnych włosach i przyszpiliłam do niej najmodniejszy kapelusz. Wyglądałam naprawdę pociągająco, jeśli nie zjawiskowo, w przyozdobionych koronkami muślinach o barwie jaskrów. Udałam się z wizytą, niosąc bukiet złożony z pierwiosnków, kwiatów jabłoni i rezedy. Pierwiosnki symbolizują nadchodzącą radość, kwitnąca jabłoń – zdrowie, a rezeda (miałam nadzieję, że pani doktorowa to zrozumie) była wyrazem mojego najwyższego uznania dla pani Watson. Kwiatuszki rezedy wyglądają nader skromnie, jednak wydzielają przesłodką woń. Obdarowuje się nimi osoby

o nadzwyczajnych walorach ducha skrywanych pod równie niezwykłą skromnością.

Stanęłam ponownie na nieskazitelnie czystym progu i podałam służącej wizytówkę niejakiej panny Violi Everseau. Nie miałam wątpliwości, że pani domu mnie przyjmie, ale byłam ciekawa, czy ponownie mi zaufa.

Celem mojej misji było bowiem jedynie zaspokojenie ciekawości. Nic poza tym.

A jednak okazało się, że czekają mnie kolejne niespodzianki.

– Panna Everseau! – Naturalna jak kłos rezedy, w skromnej ciemnoszarej sukni domowej wybiegła mi na spotkanie, wyciągając ku mnie ręce. – Jak miło z pani strony, jak wspaniale, że znów mnie pani odwiedza! I te prześliczne kwiatki! – Zanurzyła w nich twarz, napawając się przez chwilę zapachem, zanim przekazała je pokojówce. – Doprawdy, jest pani aż nazbyt uprzejma.

– Nie zgodzę się z tym. Uważam, że jest pani kobietą, której należą się wyrazy najwyższego uznania.

– Ależ w tej chwili już niczego mi nie trzeba do pełni szczęścia. Zapewne wie pani, że mój John powrócił do domu cały i zdrowy.

– Tak słyszałam, ku swojej wielkiej uldze, mimo że nie może się ona równać z tym, co pani czuła.

– Och, omal nie zemdlałam z radości na jego widok. Proszę usiąść! Zadzwońię po poczęstunek.

– Niepotrzebnie się martwiłam, że potraktuje mnie z rezerwą, najwyraźniej chciała mi o wszystkim ze szczegółami opowiedzieć. Teraz wystarczy spytać ją oględnie – przy herbatce i cytrynowych wafelkach – czy policja przyczyniła się w jakiś sposób do bezpiecznego powrotu jej zaginionego męża.

– Ależ skąd. Funkcjonariusze sami stwierdzili, że ta sprawa ich przerasta.

– Czyli pan Sherlock Holmes?

– Nawet i on nie wie, co myśleć. Nie mamy pojęcia, kim jest złoczyńca... Wyglądało to tak, że w klubie pojawił się nieznany Johnowi mężczyzna, poprosił o rozmowę i oświadczył, że pan Sherlock Holmes wzywa go w niecierpiącej zwłoki i delikatnej natury sprawie. John nabrał pewnych podejrzeń, kiedy rzekomy posłaniec kazał mu schować czarną torbę za biurkiem, żeby nie zdradzała jego przynależności do świata medycyny. Był to dość dziwnie wyglądający człowiek, miał coś nienaturalnego w twarzy, ale koniec końców wydał się mężowi wiarygodny, zwłaszcza że pan Holmes niejednokrotnie wzywał go do pomocy w równie niecodziennych okolicznościach. John ruszył więc ufnie jak jagnię wiedzione na rzeź. I już za pierwszym rogiem dopadł go policjant w towarzystwie kilku innych mężczyzn. Zaciągnęli go siłą do czarnego powozu. Oczywiście próbował się szarpać i oponować. „Co panowie robią? Nie mogę się spóźnić! Idę na spotkanie z Sherlockiem Holmesem!” Wówczas odezwał się człowiek o niepokojąco dziwnej twarzy: „Chyba sami panowie widzą?”. Konstabl skwitował to słowami: „W rzeczy samej. Klasyczny przypadek fiksacji. Proszę ze mną, panie Kippersalt”.

– Kippersalt? – wykrzyknęłam, grając rolę kogoś, kto nie ma o niczym pojęcia. – Czy nie jest to nazwisko osoby, o której rozpisywała się ostatnio prasa?

– Tak. Nosił je ten nieszczęśnik, którego zamordowano i zakopano w oranżerii.

– Czy to może mieć związek ze sprawą?

– Pan Holmes uważa, że ma. Prowadzi śledztwo. Tak czy inaczej panowie z czarnego powozu byli przeświadczeni, że John to Kippersalt. I mimo jego zapewnień, że są w błędzie, że nosi nazwisko Watson i że jest lekarzem, pochycili go, mówiąc: „Dobrze, dobrze, panie Kippersalt, prosimy bez awantur”. A kiedy John dalej upierał się przy swoim, z powozu wysiadła pielęgniarka, mówiąc: „Proszę się uspokoić, panie Kippersalt”. I mąż poczuł ukłucie igły. Odzyskał przytomność w szpitalu dla umysłowo chorych, gdzie nikt nie chciał słuchać jego racji. Całe to nieporozumienie, jak sam twierdzi, mogłoby przyprawić o obłąd nawet osobę o zdrowych zmysłach.

– Co za przebiegłość – zamruczałam, zrozumiawszy, w jaki sposób Flora połączyła nazwisko Kippersalta i rozgłos Watsona, by doprowadzić tego drugiego do upadku. – Co za diabelski podstęp – poprawiłam się.

– Diabelski, o, tak!

Do pokoju weszła pokojówka, niosąc mój kwietny dar w uroczym wazoniku z zielonego szkła. Umieściła go na szpiniecie. Zapach rezedy wypełnił urokliwy salonik. O wiele bardziej urokliwy, odkąd zabrakło w nim złowieszczych bukietów.

Kiedy służąca się oddaliła, spytałam:

– Czy wiadomo, kto stoi za tym nikczemnym wprowadzeniem w majestacie prawa?

– Tego jeszcze nie wiemy, ale John podejrzewa odwet jakiegoś obłąkanego pacjenta, którego skierował na pobyt w zakładzie zamkniętym. Obecnie poświęca wolne od obowiązków chwile na wertowanie swojej dokumentacji medycznej w poszukiwaniu poszlak.

– A kto go odnalazł? Pan Sherlock Holmes?

– Ależ skąd!

Spodziewałam się, że przypisze zasługi Mycroftowi.

Zamiast tego usłyszałam:

– Tożsamość osoby, która wyratowała Johna z opresji, to chyba najbardziej niezwykły aspekt całej tej historii. Wygląda na to... – Pierwszy raz w jej głosie pojawiło się wahanie. Nie naciskałam, bo sama czułam, że stąkam po niepewnym moralnie gruncie. Po chwili pani Watson pochyliła się ku mnie, marszcząc lekko brwi. – Chyba nic złego się nie stanie, jeśli panią wtajemniczę, panno Everseau. Do szczęśliwego powrotu mojego Johna przyczyniła się głównie panna *Enola* Holmes.

– Panna Enola Holmes?

– Młodsza siostra pana Sherlocka.

– Siostra? Nie wiedziałam, że ma siostrę! – Żywe zainteresowanie nie było tym razem udawane, ponieważ uświadomiłam sobie, jak przydatna może się dla mnie okazać niedyskrecja pani Watson.

– Nie jest to powszechnie znana sprawa – pospieszyła z wyjaśnieniami – ponieważ dziewczyna przysparza rodzinie kłopotów, jest bardzo uparta i zachowuje się jak chłopak. Do tego stopnia, że... No cóż, bracia nie znają miejsca jej obecnego pobytu.

– Jakże to?

Nastąpił dłuższy monolog pani Watson. Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi opowieści o tym, że postawiłam na samodzielność i ukrywam się w Londynie. Najważniejsze było, że to, co mówiła, pokrywało się idealnie z moimi przypuszczeniami na temat stanu wiedzy braci. Z jednym wyjątkiem, który ujawnił się w następującej wymianie zdań:

– Ale pani nigdy nie poznała tej niezwykłej dziewczyny? – spytałam.

– Nie! Nie mamy pojęcia, dlaczego włączyła się w poszukiwania.

– I dopiero teraz dowiedziała się pani o jej istnieniu?

– Nie całkiem. Doszły mnie słuchy... Widzi pani, mąż zwierzył mi się kiedyś, że zaniepokoił go stan nerwów przyjaciela. Do tego stopnia, że postanowił się skontaktować z doktorem Ragostinem.

– Ragostinem? – powtórzyłam tonem osoby niedoinformowanej.

– Z tak zwanym naukowcem perdytorem. – W jej przemiłym głosie pojawiła się nutka leciutkiej kpiny. – John uważa go dziś za szarlatana.

– Więc niczego się od niego nie dowiedział?

– Nawet się z nim nie spotkał. Rozmawiał jedynie z młodą kobietą, jego sekretarką.

– Ciekawe, czy to nie moja znajoma, Marjory Peabody – powiedziałam cicho z udawanym roztargnieniem. – To straszne, do czego doprowadził rodziny właścicieli ziemskich upadek rolnictwa. Marjory musiała przyjąć pracę u jakiegoś doktora. Nie wie pani przypadkiem, jak się nazywała sekretarka pana Ragostina?

– Przykro mi, ale nie. Nic o niej nie wiem.

– Nawet jak wyglądała? Czy jest pulchna i ma włosy blond?

– Naprawdę trudno mi powiedzieć. Mąż niewiele o niej mówił, nie zwrócił na nią zbyt wiele uwagi.

Kiedy pani Watson informowała mnie bezwiednie o tym, że jestem uratowana, starałam się zachowywać – mam nadzieję, że skutecznie – w sposób nader dystyngowany. Podobnie jak wówczas,

kiedy zdradzała mi szczegóły tajemnicy otaczającej Enolę Holmes i jej roli w ratowaniu doktora Watsona. Jednak przez cały czas – nawet kiedy opowieść dobiegła końca, a ja wstałam, by pogratulować pani Watson, uściskać ją i pożegnać, grając do końca niewolnicę konwenansów – mój umysł zachowywał się jak umorusany dzieciak, który podskakuje z piskiem, robi gwiazdę i w wyjątkowo nieprzyzwoity sposób staje na rękach, krzycząc przy tym radośnie: „Hura, pocziwy i dobroduszny doktor Watson!”.

Kilka tygodni wcześniej sporządziłam listę:

*Wie [mój brat Sherlock], że używam imienia Ivy.*

*Należy założyć, że doktor Watson poinformował go, iż niejaka Ivy Meshle pracuje dla pierwszego na świecie naukowca perdytorysty.*

Jednak rozmowa z panią Watson ujawniła, że w ogóle na to nie wpadł!

Chyba że... Czyżby pouczył ją, co ma mówić, żeby wciągnąć mnie w sidła?

Nie. Z całą pewnością nie. Było to z punktu widzenia logiki zupełnie niemożliwe, ponieważ nikt nie mógł wiedzieć ani nawet oczekiwać, że ją odwiedzę w takim czy innym przebraniu. Tym bardziej że spostrzeżenia pani Watson brzmiały niezwykle autentycznie i były przepełnione czułą wyrozumiałością żony dla nieco korpulentnego i roztargnionego męża. Oddalając się od domu państwa Watsonów, posyłałam w duchu błogosławieństwa dla jego kochanej, acz niezbyt lotnej głowy. Niech niebiosy mają w opiece tego człowieka. Panna Meshle nie wzbudziła w nim żadnych podejrzeń, nie zapamiętał ani jej imienia, ani nawet nazwiska.

Skoro tak, to jeśli nawet przyznał się Sherlockowi do wizyty u szarlatana Ragostina, z pewnością nie powiedział mu nic na temat Ivy Meshle.

Napełniło mnie to ogromną radością!

Znów mogę się wcielić w Ivy Meshle.

Dalej mogę realizować swoje życiowe powołanie.

Z trudem zapanowałam nad chęcią rzucenia się do biegu w podskokach i statecznym krokiem dotarłam na szacowne chodniki Oxford Street.

Kiedys, kiedy stanę się pełnoletnia i nie będzie mnie już można posyłać tam i ówdzie wbrew mojej woli, przyjdzie chwila – wprawdzie za niemal siedem długich lat, ale warto o niej marzyć – że będę mogła prowadzić działalność pod własnym nazwiskiem.

Enola Holmes, pierwsza na świecie i jedyna autentyczna prywatna naukowczyni perdytorystka.

## KWIECIEŃ 1889

Flora Harris – zaczyna słynny detektyw, pan Sherlock Holmes, zwracając się do swego przyjaciela i współpracownika, doktora Watsona, gdy obaj odpoczywają po doskonałej kolacji w Simpson's-in-the-Strand – czy też raczej Arris, ponieważ wszystko wskazuje na to, że należy do osób urodzonych w zasięgu słyszalności dzwonów kościoła St. Mary-le-Bow.

Z leciutkim opóźnieniem Watson kiwa głową.

– Cockney.

– W rzeczy samej. Flora Harris i jej o pięć lat starsza siostra, Frances. Flora nie wyszła za mąż, tymczasem Frances udało się dzięki małżeństwu podnieść swój społeczny status. Wraz z mężem prowadziła sklep przy Holywell Street, Pod Chaunticleerem. Uparła się, by zmienić imię na „Pertelota”.

– Ciekawe – kwituje to Watson, wpatrując się w zacne hawańskie cygaro, którym za parę minut się uraczy – acz odrobinę nieszablonowe.

– Cała rodzina okazała się aż nazbyt nieszablonowa, jak zapewne, ku swojej udręce, zdążyłeś zauważyć.

– Czy tak? Nie do końca rozumiem, po co mi to wszystko mówisz.

– Mężem starszej siostry był Augustus Kippersalt.

– A! – Watson upuszcza cygaro na obrus i nie kwapi się, by je podnieść.

– Mieszkała z nimi jej młodsza siostra. Nieco dziwny układ, że tak powiem. Augustus umieścił ją w końcu w zakładzie, zarzucając jej georgesandinizm<sup>[5]</sup>.

Watson prostuje się na krześle pod wpływem nagłego olśnienia i przyływu emocji.

– Teraz sobie przypominam! Ale nie chodziło jedynie o jej zamiłowanie do męskich strojów, były także inne powody, dla których należało ją odsunąć od kontaktów ze społeczeństwem. Niezdrowa relacja obu sióstr i deformacja twarzy wskutek wypadku doprowadziły ją do zgorzknienia o cechach fiksacji...

– Flora Harris z całą pewnością jest dotknięta obłędem. Nikt nie podważa twojej diagnozy, doktora.

– Więc twierdzisz, że to ona... to ona była mężczyzną, który wywołał mnie z klubu? – spytał Watson z rosnącym niedowierzaniem.

– W rzeczy samej. I to ona załatwiła ci nieszczęsny tygodniowy pobyt w Colney Hatch. – Holmes wyjaśnia następnie, że pani Pertelota Kippersalt, być może również lekko chora psychicznie, doszła do wniosku, iż siostra jest dla niej ważniejsza niż mąż, i zabrała ją z zakładu do domu, co pan Kippersalt przypłacił życiem. Zabójstwo wstrząsnęło zapewne starszą siostrą, która od tej pory trzymała Florę pod ścisłą kuratelą. Po pewnym czasie czujność Perteloty nieco osłabła i Flora Harris mogła przeprowadzić swój plan zemsty na lekarzu, który podpisał wniosek o jej ubezwłasnowolnienie.

– Przecież to wszystko jest aż nadto oczywiste – stwierdza Watson spokojnie, wyraźnie odprężony rozwiązaniem zagadki.

– Teraz, z perspektywy czasu, owszem. Ale wtedy... – Twarz detektywa nabiera bardzo dziwnego wyrazu. I szukając ukojenia, Sherlock Holmes sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki po fajkę i woreczek z tytoniem. – Wtedy – wyznaje cichym i wymuszonym głosem – nie przyszło mi to do głowy.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Poczciwe serce nie pozwala ci chować do mnie urazy, mój drogi Watsonie, ale ja wyrzucam sobie to, że nie wziąłem pod lupę pewnych wątków śledztwa. I siedziałbyś do dziś w Colney Hatch, gdyby nie moja siostra.

Watson wie o istnieniu jego siostry. Bądź co bądź obaj byli świadkami tego, jak w przebraniu zakonnicy wpadła do domu Watsona, by powierzyć jego opiece na wpół żywą młodą lady. A jednak mimo wielu nadarzających się sposobności wielki detektyw po raz pierwszy wspomina przyjacielowi o siostrze swemu bliskiemu przyjacielowi. Wiedząc, że to drażliwy temat, doktor Watson stara się nie

okazywać żadnej reakcji. Nawet mrugnięciem powiek.

– A, twoja siostra – mówi. Zupełnie jakby temat Enoli był w ich rozmowach czymś oczywistym, jak nawiązania do opublikowanej przez Holmesa metody rozpoznawania gatunków cygar na podstawie popiołu. – Co sądzisz o swojej siostrze, Holmes?

W gabinecie restauracji u Simpsona zapada trwająca kilka dobrych chwil cisza. Wielki detektyw patrzy w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Jego twarz pozostaje nieprzenikniona.

– Wiesz... – odzywa się w końcu – ...ubolewam nad tym, że nie chce mi zaufać.



## PRZYPISY

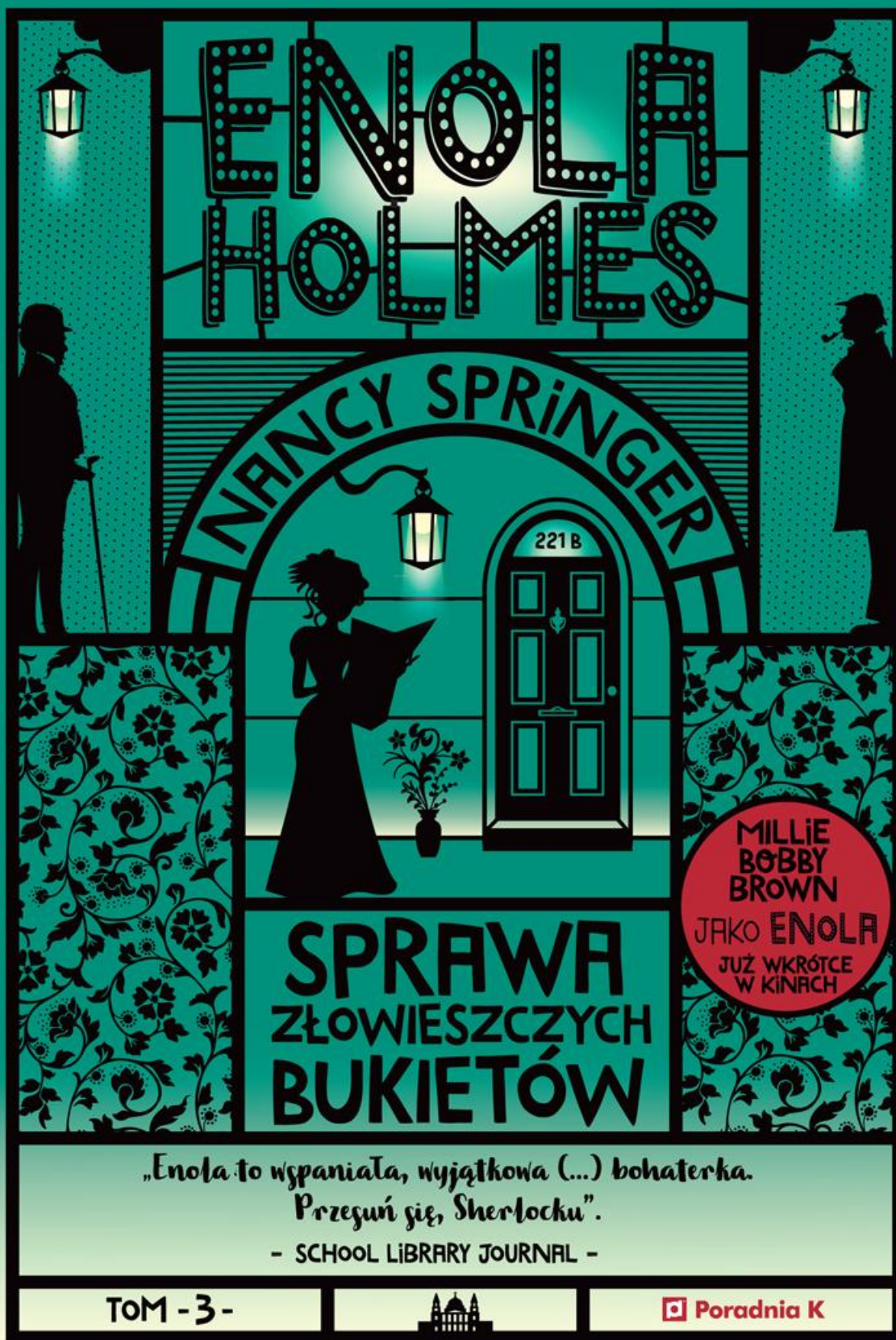
[1] *Qui pro quo* (łac.) – dosłownie: kto zamiast którego, nieporozumienie (przyp. tłum.).

[2] Armia Zbawienia (przyp. tłum.).

[3] Jedwabna, najczęściej czarna tkanina o skośnym splocie (przyp. tłum.).

[4] Kapelusznicy pracowali w oparach rtęci, co prowadziło do zaburzeń umysłowych (przyp. tłum.).

[5] Francuska pisarka epoki romantyzmu Aurora Dudevant przyjęła męski pseudonim George Sand. Słynęła z ekscentrycznego zachowania, niewłaściwego kobietom jej czasów: paliła cygara, nosiła się po męsku, dyskutowała z mężczyznami (przyp. tłum.).



# ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

221 B

## SPRAWA ZŁOWIESZCZYCH BUKIETÓW

MILLIE  
BOBBY  
BROWN  
JAKO ENOLA  
JUŻ WKRÓTCE  
W KINACH

„Enola to wspaniała, wyjątkowa (...) bohaterka.  
Prześnij się, Sherlocku”.

- SCHOOL LIBRARY JOURNAL -

TOM - 3 -



 Poradnia K